

# DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

Marzec 1980

Cena 4 zł



„Moja jabłoń” EWELINY PĘKSOWEJ

Fot. WŁADYSŁAW WERNER

KRYSZYNA WRÓŃSKA

To tylko  
tyle...

To tylko zapach zaoranej ziemi  
Co pod próg prawie od pola podpełza  
To tylko dzwonek na hali brzęczenie  
Zaczarowany odpust w Starym Sączu  
Święto w oborze, gdzie się właśnie stało  
Cielę tak piękne

jak dzień czyż szczęśliwy  
To tylko przełom Dunajca w Pieninach  
Wiecha z jałowca, kapliczka pod lipą  
Spódnica w kwiaty od łąki bogatsza  
I łąka w kolor bogatsza od tęczy  
To tylko słowo co nazywa słońce  
Dom, chleb i dzbanek na stole błękitny  
To tylko jabłko, słonecznik, fujszarka  
To tylko tyle -- a żrenica oka.

Na wzgórzu  
stanie  
piękny dom

Na wzgórzu postawimy dom  
Ciało mu z drewna uczynimy  
bo w drewnie ciepła i tkiwością  
jest właśnie tyle ile trzeba  
Ściany solidne dom dostanie  
lecz dach dziurawy, żeby błękit  
garnął się do nas, a z nim  
chmury i wiatr, a czasem i ulewa  
— bo deszczu też nam będzie trzeba  
W końcu dom w ogród otulimy  
w ogród, gdzie znajdują się różowe  
policzki malw i gdzie zielone  
oddechy traw się będą snuły  
w potrzebie przeciw szarym dniom

I będzie tak: podpowiem snom  
na wzgórzu stanie piękny dom.

Niedzica, późne popołudnie. Henryk Kostecki, który sprostił tutaj artystów z różnych stron województwa, przysiadł się do Michała Słowika-Dzwona i słucha poety odzianego w paradny pieniński strój, godnie wspartego na ciupadze. Na pańskim kiedyś zamku chłop spod Miechowa rozmawia z chłopem znad Dunajca. A w drugim końcu sali Julian Kawalec otrzymuje właśnie prezent od Eweliny Pęksowej: chłopski pisarz obdarowany przez góralską malarzkę katalogiem z jej wystawy w Warszawie.

Biore ten katalog do ręki — Julian baczy, bym sobie go nie przywłaszczył — otwieram i szczęśliwym trafem spostrzegam reprodukcję obrazka na szkło malowanego, któremu Autorka dała tytuł „Moja jabłoń”.

Spójrzcie na tę jabłoń zdołączając pierwszą stronę „Dunajca”. W kobiecych ramionach gruby pień drzewa, które nie od dziś rodzi owoce. Widać że mocno musiało wkorzenieć się w glebę; skoro tak wysoko wyrosło — silne było, ostatek się wichrom i przymrozkom.

Drzewo solidnie rozgałęzione, wiekowe. O jego konarach Pęksowa pisze: „Tutaj moi przodkowie — Zubki, Gąsienice, Bachledy i Galice, a po matce Roliccy, Bryniarscy i Pawlikowscy byli szczęśliwi

## Jabłoń

i swobodni, bo natura wynagradzała szczodrze za wszystko. Jestem wtopiona w tę przeszłość i w ten krajobraz, bez którego żyć bym nie mogła”.

Odszukajcie, proszę, wewnątrz „Dunajca” wypożycz pani Eweliny i zauważcie następnie, jak bar-

dzo podobny w serdeczności wobec rodzinnych stron jest głos Marii Riemen, która z gór wyniesioną zadziorność umie spożytkować w poseselskiej, partyjnej i nauczycielskiej służbie. Także babcia Kumarkiewiczowa, całym życiem związana z Gorlicami i „Glinikiem”, opowiada, jak ważne — i dające satysfakcję — jest wkorzeniecie w swoje środowisko, w rodzinę, w działanie wśród ludzi.

Zamiast okolicznościowej laurki, zamiast tekstów o roli płci pięknej w życiu społecznym oddaliśmy tym razem głos samym kobietom. Warto tego głosu posłuchać. Łączniczki między dawnymi a nowymi laty, od pokoleń zatroskane i tym, co do garnka włożyć, kiedy bieda, i tym — jak swych synów na ludzi wykierować — serdecznie trzymając w ramionach jabłoń naszego życia.

Tę właśnie refleksję przywożem z niedzickiego wzgórza, u stóp którego trudzą się budownicze wielkiej zapory, też przecież pochodzący z tego samego, wielkiego i rozgałęzionego polskiego drzewa.



## OPINIE

### Order dla Starego Sącza

Stary Sącz liczy 723 lata. To jedno z najstarszych miast w południowej Polsce zostało w całości uznane za zabytek pierwszej klasy.

(...) W uznaniu wybitnych zasług mieszkańców Starego Sącza położonych na rzecz kulturalnego i gospodarczego rozwoju regionu i kraju, za osiągnięcia w dziedzinie umacniania socjalistycznej samorządności, Rada Państwa nadała Staremu Sączowi Order Sztandaru Pracy II klasy.

„Trybuna Ludu”

### Dziwy z kozuszkami

Kiedy w 1977 r. wprowadzono w Nowosądeckim podwyższone, odpowiadające wolnorynkowym, ceny skupu skór owech, przyspówano na pewien okres pokątnych kuźnierzy. Ale po jakimś czasie kuźnierze znów podbili ceny, bodźcie finansowy wyraźnie stępił się. W efekcie w uspołecznionym skupie znalazło się w minionym roku już o około jedną czwartą mniej skór, jak w roku 1978. Bo na kozuszkę run jest nadal duży.

Nieco dziwne, że kozuch szyty w prywatnym warsztacie, z droższego, nadpłaconego surowca kosztuje wcale nie więcej, niż ten pochodzący z bądz co bądz seryjnej produkcji i szyty z tańszych, „uspołecznionych” skór. Jeszcze dziwniejsze, że nowosądecy produkcję kozuszków, m. in. „Gorce”, „Beskid”, Zakopińskie Zakłady Wzorcowe prawie w całości korzystają ze skór importowanych, mając pod nosem owczarskie bogactwo (Nowosądeckie wiedzie prym w kraju pod względem „obsady” owiec).

\* KAZIMIERZ TURKIEWICZ  
„Więści”

### Krynica czeka

Szpital w Krynicy ma 251 łóżek i 30 łóżeczek noworodków. Podlega jego opiece 59 tysięcy ludzi. Oddziały: interna, chirurgia, ginekologia z położnictwem, dziecięcy, noworodków. Bardzo ciasno, łóżka na korytarzach. Pacjen-

tów przysyłają tu także sanatoria Krynicy. W zimie chirurgów mają pełne ręce roboty: trzeba nastawiać kończyny wezasowiczów złamane przy używaniu przyjemności narciarskich. Dyrektorowi szpitala marzy się budowa nowego pawilonu na 120 łóżek. Jest ku temu odpowiednie, piękne miejsce na wzgórzu.

BARBARA PIETKIEWICZ  
„Kobieta i Życie”

### W zakopińskim „Pewexie” nie kochają dolarów

Rok 1980 zaczął się dobrze pod Tatrami. Gości sporo, a samochodów wręcz za dużo. Optycznym cudzoziemcy stanowią ok. 1/4 gości. Zakopane zarabia więc. Niestety, nie wszyscy chcą korzystać z okazji gromadzenia dewiz. Np. sklep „Pewexu” na Krupówkach jest nie tylko słabo zaopatrzony, ale ma obsługę, która nie zawsze wie, co ma do sprzedania. A do tego panie inkasujące obce walory w kasie pracują pojedynczo i długie ogonki do kasy zniechęcają cudzoziemców do zostawiania tu dewiz...

Cieszymy się, że gdzieś indziej w zakopińskich sklepach, kawiarniach i restauracjach obsługa jest ujemna, a w sklepach towaru stosunkowo sporo.

„Echo Krakowa”

### Osady nad Dunajcem już w III wieku

Początki osadnictwa w Karpatach są znacznie starsze niż dotychczas sądzono. Archeolodzy z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN ujawnili wiele nowych śladów osadnictwa z V—III wieku p.n.e. oraz z początków naszej ery. Odkryto m. in. górskie osiedla z III—IV wieku n.e. w rejonie Moszczenicy przy ujściu Popradu do Dunajca; znajdowały się one na wysokości ponad 800 m nad poziomem morza. Dotychczas nie podejrzewano istnienia w północnej części Karpat osadnictwa na takich wysokościach.

„Kurier Polski”

### Na pomoc Harendzie

Kasprowicowska Harenda zaczęła starzeć się w niepokojący sposób. Zbudowany tandetnie kilkadziesiąt lat temu górski dom, który wielki poeta nabył w 1923 roku, i w którym do chwili obecnej mieszka jego córka, wymagał szybkiej rekonstrukcji dachu, starannego remontu pieców, murów oporowych, podłóg. Konserwatorsko-remontowych zabiegów wymagało również znajdujące się na tej samej posesji mauzoleum poety. Brak zerwanego przed laty mostku na Zakopiance poważnie utrudniał dojście do Muzeum.

Tak powstała akcja „Z pomocą Harendzie”, nad którą patronat przejął powołany z inicjatywy TD („Tygodnika Demokratycznego”) Społeczny Komitet Pomocy Harendzie; w jego skład weszli wybitni literaci, artyści, działacze społeczno-polityczni, kilku dziennikarzy.

ANDRZEJ KOSKOWSKI  
„Tygodnik Demokratyczny”

### Przyszłość Szczawy

Szczawa stopniowo zaczyna przeobrażać się w miejscowość uzdrowiskową. Rozpoczęto prace przy wznoszeniu ośrodków wczasowych, a miejscowi też budują nowe, okazałe domy z przeznaczeniem dla gości.

Decyzją Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Szczawa została wytypowana w pierwszej kolejności do całościowej modernizacji, spośród miejscowości objętych programem budownictwa wypoczynkowego. Opracowano kompleksowy plan zagospodarowania Szczawy, która ma się stać w przyszłości nie mniej znana niż Krynica czy Zakopane.

JAN URYGA  
„Kierunki”

### Nareszcie!

Wielokrotne starania Zarządu Krakowskiego Oddziału SITG, a w szczególności jego Komisji ds. Tradycji i Muzealnictwa Górniczego w sprawie odpowiedniego uczczenia pamięci Waleriego Goetla (1889—1972) — zasłużonego

geologa, górnika, uczonego o wszechstronnych zainteresowaniach, pioniera idei ochrony przyrody oraz współzałożyciela Tatrzńskiego Parku Narodowego przyniosły pozytywny efekt.

Pismem z dnia 8 stycznia 1980 r. — Urząd Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzńskiej — Wydział Gospodarki Terenowej — poinformował w.wym. Komisję, że Uchwałą Rady Narodowej Miasta Zakopanego z dnia 20 czerwca 1979 r. — nadano nazwę: „Skansen im. Waleriego Goetla” dla terenu przyszłego skansenu regionalnego — zlokalizowanego na polanie Biały Potok.

KAROL JAHODA  
„Dziennik Polski”

### Matizol

Od 9 lat działa w Gorlicach Zakład Materiałów Termoizolacyjnych jako samodzielna jednostka organizacyjna Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Izolacji Budowlanej w Katowicach.

Zaloga tego niewielkiego zakładu zapisała na swoim koncie wiele sukcesów naukowych i technicznych. (...)

Zespół naukowo-badawczy Zakładu posiada w swoim dorobku kilka patentów i wzorów użytkowych. Tylko w ubiegłym roku wdrożono prace badawczo-doświadczalne przyniosły gospodarce narodowej w efekcie 12 mln zł oszczędności. Znalazło to swój wyraz w przyznanych zespołowi nagrodach resortu nauki i budownictwa.

JANUSZ KOSZYK  
„Gazeta Południowa”

### Piękniej w Nowym Targu

Spora ostatnio zmieniło się w Nowym Targu. Zburzono 186 ruder i szop, ale na tym nie koniec. Dokonano tego nie nakazami, lecz perswazją. Mieszkańcy sami rozumieli, że chcą mieć miasto ładne, takich „kurników” nie powinni utrzymywać. W ogóle estetyzacji poświęca się wiele uwagi, czego wyrazem jest utrzymywanie stanowiska plastyka miejskiego. Dąży się również do zaktualizowania pozostałych plastików zawodowych. Ich projekty zdobienia ulic i placów realizują rzemieślnicy — tutaj także ofiarni i chętni.

„Kurier Polski”

Zwizła notatka prasowa informowała, że prezydent Nowego Sącza pełni dyżur telefoniczny, w trakcie którego odpowie na pytania obywateli dotyczące teraźniejszości i przyszłości miasta. W ciągu trzystu minut między godziną 10 a 15 telefon dzwonił bez przerwy. Skorzystało z okazji sześćdziesięciu obywateli, którzy zgłosili ponad sto pięćdziesiąt spraw. Trudno powiedzieć, ilu osobom nie udało się dodzwonić. Nie potrafię również skomentować faktu, iż przytłaczającą większość rozmówców stanowiły kobiety.

— Chciałabym skorzystać z okazji, że pan Prezydent jest dzisiaj do naszej dyspozycji i przekazać kilka swoich uwag — mówi pierwsza rozmówczyni.

— Codziennie jestem do dyspozycji! — odpowiada prezydent Nowego Sącza.

Teoretycznie przedstawiciele administracji państwowej, dyrektorzy i prezesi rzeczywistości każdego dnia powinni być osiągalni dla obywatela, który szuka rady, informacji lub pomocy. W praktyce jest jednak inaczej: w kalendarzu gęsto do terminów, goni się z narady na naradę, a jeśli nawet jest się u siebie, to i tak czeka zaległa poczta, lub interesant — nierzadko na tyle ważny, że sekretarka pyta, czy sprawa, którą telefonicznie chce my przekazać, istotnie nie cierpi zwłoki.

Im bardziej pracowity człowiek za odpowiedzialnym biurkiem, tym trudniej czasami go osiągnąć: bieżące sprawy wciągają niemal każdego — bez reszty. Z racji swego zawodu wiele mogłoby powiedzieć o przebiegłości sekretarek chroniących swych szefów. Najprostszym scenariuszem jest taki: — Szef wyszedł na chwilę, czy coś przekazać? Szef ma ważną naradę i nie może go wywołać...

### Adam Ogorzałek

# DYŻUR

# NA RATUSZU

Gorszy wariant — ostatnio zaprezentowany w jednej z sądeckich spółdzielni: — A o co chodzi? — O prezesa! — A kto mówi? — Nazwisko już pani podałam, pracuję w redakcji... — To czemu pan nie mówi od razu?

Z moich obserwacji wynika, że dostęp do pewnych ludzi nie jest tak łatwy, jak się im samym wydaje. I chyba tym właśnie kierowała się „Gazeta Południowa” inicjując telefoniczne dyżury naczelników miast. Co jakiś czas odrywają się oni od codziennej krzątaniny, by wysłuchać opinii obywateli. Fakt, że dialog ten toczy się za pośrednictwem telefonu — a więc pozwalała na ewentualne zachowanie anonimowości — rozwiązuje ludziom języki. Łatwiej mówi się do słuchawki niż na zebraniu.

Najpierw o pytaniach, bez ładu i składu, tak jak padały:

Co dalej z miejskim radiowentem? Czy myśli się o remoncie basenu nad Łubinką? Kiedy osiedle Millenium otrzyma przychodnię i pawilon handlowo-usługowy? Gdzie stanie hala sportowo-widowiskowa? Stara Kolonia nie ma gazu i wody, kiedy dotrze tutaj cywilizacja? W fatalnym stanie są ulice na obrzeżach miasta... Na osiedlu Barskie brakuje przedszkola. Jaki jest los Centrum Kultury? Dlaczego nie ma lokali młodzieżowych w których można by potańczyć? Poprzednie godziny funkcjonowania sklepów były lepsze niż obecnie... Gdzie powstaną korty, łodowiska i ogólnie dostępne boiska? Czy Zamek będzie odbudowany? W restauracji „Panorama” grasują bezkarnie chu-



# PROSZĘ O GŁOS

## Pokochajmy stare budynki

Jednym z najbardziej nabrzmiałych problemów społecznych w naszym kraju jest sytuacja mieszkaniowa. Trzeba jednak pamiętać, że rozwiązanie tak trudnej i złożonej kwestii nie nastąpi wyłącznie poprzez rozwój nowego budownictwa.

Brak należytej konserwacji i opieki nad starą zabudową, zaniedbania remontowe w ogromnej części zamieszkałej, starszej substancji mieszkaniowej są powodem nadmiernego wzrostu zapotrzebowania na mieszkania z nowego budownictwa.

Podwyższenie standardu starych mieszkań zwiększy ich atrakcyjność. Zwłaszcza wobec panującej mody „retro”. Mieszkania te mogą być dla wielu ludzi wygodniejsze, oczywiście pod warunkiem, że będą zmodernizowane i odpowiednio utrzymane.

W Nowym Sączu znaczna część ludności zamieszkuje w starych, przedwojennych domach. Stare zasoby mieszkaniowe, stanowiące własność państwa obejmują ponad 230 budynków o łącznej powierzchni użytkowej blisko 200 tys. m<sup>2</sup>. Więcej niż połowa tych domów znajduje się w złym stanie technicznym. Wymagają one kompleksowych remontów i unowocześnienia. Zadania takie wynikają również z Uchwały Komitetu Wojewódzkiego Partii w Nowym Sączu z czerwca 1977 roku.

Niestety, sprawa remontów i modernizacji starych budynków nie jest należycie doceniana. W roku 1976 wyremontowano 14 budynków kosztem 7,4 mln zł; w 1977 — tylko dwa budynki za 5,3 mln; w 1978 — 6 budynków kosztem 8,6 mln zł, w 1979 — 5, nakładem około 10 mln zł.

Zadania planu 1979 tak pod względem rzeczowym, jak i finansowym nie zostały wykonane i tradycyjnym poślizgiem

remont kilku obiektów przeszedł na rok bieżący. Ilość budynków, poddawanych remontom gruntownym i modernizacji maleje, natomiast potrzeby są coraz większe. W nakładach finansowych na ten cel nie ma też wydawnego postępu, a biorąc pod uwagę wzrost cen materiałów budowlanych i podwyżkę kosztów budownictwa, nastąpił ratywny regres.

Zasadniczym tego powodem nie jest jednak brak środków finansowych, lecz trudności związane z wykonawstwem, albo — mówiąc szczerze — przemóżna niechęć przedsiębiorstw remontowo-budowlanych do angażowania się w remonty starych budynków mieszkalnych.

Wykonawcy nągninnie wykorzystują różnego rodzaju wybiegi formalne, np. odrzucanie uproszczonej dokumentacji technicznej — do tego rodzaju robót wystarczającej — byle tylko remontu nie podjąć. Remonty obiektów „wymuszonych” niezmiernie się przewlekają, nie przestrzegają się obowiązujących cykli, roboty nie są odpowiednio przygotowane i skoordynowane, organizacja pracy wywołuje wiele zastrzeżeń, jakość robót jest niska. Wykonawcami tych robót są przedsiębiorstwa remontowo-budowlane resortu gospodarki terenowej i ochrony środowiska przede wszystkim do tego celu powołane, o czym zbyt często — niestety — się zapomina.

Dążąc do rozwiązania trudnej kwestii mieszkaniowej w naszym mieście musimy więc znacznie większy wysiłek skierować na remonty i modernizację starych zasobów mieszkaniowych. Wymaga to zwiększenia nakładów finansowych na ten cel, a zadania rzeczowe dla wykonawców robót muszą być traktowane jako bezwzględnie obowiązujące.

Zmiana istniejącej sytuacji wymaga bardziej zdecydowanego poparcia odpowiednich władz, a przede wszystkim zmiany nastawienia do niekochanych, ale koniecznych remontów naszych starych domów.

ZYGMUNT BŁASZAK

## „Głupie drobiazgi”

Dyrekcja Oddziału „Społem” WSS w Nowym Sączu uprzejmie dziękuje panu Antoniemu Krowowi za opisane niedociągnięć w sklepie nr 48. Jest naszą ambicją jak najlepiej służyć klientowi i dlatego wszystkie uwagi krytyczne rozpatrujemy wnikliwie, starając się w miarę możliwości uwzględnić zawarte w nich postulaty. Podobnie będzie i tym razem.

Przy okazji pragnę poinformować, że sklep jest wyposażony w niezbędny sprzęt pomocniczy, że bilonu nie powinno w przyszłości zabraknąć, a kierownictwo dołoży starań, by organizacja pracy była sprawna.

Natomiast prawdziwych kłopotów przysparza nam dostawca owoców i warzyw, który nie wywiązuje się z obowiązku paczkowania tych artykułów. Wyduża to czas obsługi klientów. Będziemy czynić starania, by również ta sprawa doczekała się unormowania.

Dyrektor Oddziału  
BOLESŁAW GLĄB

## Magiel

W suszarni naszego bloku nowotarska Spółdzielnia Mieszkaniowa wyraziła zgodę na uruchomienie prywatnej pralni i magla. W odpowiedzi na zażalenie spółdzielni zorganizowała zebranie, na którym oświadczone nam, że pralnia definitywnie otrzyma lokal. Pytamy — jakim prawem? Czy bez zgody lokatorów można pozbawić ich jedynej suszarni?

Trzeba nadmienić, że dwie spośród trzech osób owej prywatnej spółki posiadają własne domy oraz że najbliższy magiel elektryczny znajduje się w odległości 200 metrów od naszego bloku.

Wg wyjaśnień wiceprezesa T. Barbachena zgodę podpisał samorząd mieszkańców składający się z osób nie mieszkających w naszym bloku.

Mieszkańcy bloku nr 44  
ul. Podatrzaska  
NOWY TARG

## Julianowi Kawalcowi w odpowiedzi

Przeczytałem „Rekord świata” i chcę opisać prawie identyczną sytuację babci Katenberkowej. Z pomocą przyszła jej nauczycielka Szkoły Gminnej w Kamienicy, pani Kondolewicz.

Katenberkowa liczy 96 lat, chodzi tylko na kolanach, gdyż od kilku lat ma chore nogi. Całe życie pracowała dla ludzi, piorąc i sprząając mieszkania. Mąż umarł jej 20 lat temu i została sama. Mieszka na gorce bez wody i daleko od szosy. Pani Kondolewicz zajęła się babcią i wciągnęła do pomocy swoich uczniów; dzięki nim Katenberkowa ży-

je. Nikt nie chciał się nią zająć, gdyż twierdziła, że na terenie gminy nie ma wyszkolonych opiekunek PCK... Uczniowie codziennie noszą jej zakupy, raz na tydzień myją podłogi, a nawet gotują obiady. Chodzą po lekarstwu i muszą sami wiedzieć, co babci dolega, gdyż z Wydziału Zdrowia z Limanowej nikt się nie zjawia.

Młodzi opiekunowie zmieniają się, a pani Kondolewicz werbuje nowych, aby babcia nie została sama.

W grudniu, na urodziny babci, nauczycielka wysłała uczniów z kwiatami; babcia z radości płakała. Ka-

tenberkowa przyzwyczaiła się do dzieci i czeka na nie. Odwiedzają się im opowiadaniem różnych interesujących historii.

Taką nauczycielką oraz jej uczniów należy stawiać za wzór. Sądzę też, że tych uczniów winno się w jakiś sposób wynagradzać, a przykład dając im pierwszeństwo w przyjmowaniu do internatów do szkół. Zachęciłoby to więcej młodzieży do pracy społecznej.

Julian Kawalec zajął się bardzo ważną sprawą. Takie głosy są potrzebne.

WLADYSŁAW WOJCIK

lipani... Dlaczego na osiedlowych parkingach blokują miejsce samochody ciężarowe z przedsiębiorstw budowlanych? Czy to prawda, że wojewoda zakazał budowy nowych szklarni? Kiedy miasto upora się z terminowym wywozem śmieci i płynnych nieczystości? Czy wszystkie wyburzenia starych domów są przemyślane i konieczne?

Kiedy przebuduje się skrzyżowanie na Przetakówce? Co z tymkownaniem wieżowców w Milenium? Jakże są kierunki rozwoju miasta? Czy nie warto powołać brigady o wszechstronnej specjalizacji, która usuwałaby natychmiast drobne awarie w mieście? Jaka jest koncepcja pracy sklepów w wolne soboty, by zakupy w tym dniu przestały być udręką? Kiedy powstanie lotnisko? Kto ukróci paskarskie ceny pobierane przez taksówkarzy jeżdżących wyłącznie do Krakowa? Czy prezydent widzi niedostatek obiektów rekreacyjnych dla młodzieży? Co się robi, żeby nowe osiedle Barskie miało sklepy, restaurację i inne obiekty towarzyszące?

Szczegółowo relacjonowała przebieg tego dialogu „Gazeta Południowa”. Dodajmy zatem tylko dwie konstatacje: większość pytań dotyczyła spraw publicznych, mało kto załatwiał swoje indywidualne kłopoty; klimat rozmów był sympatyczny, obszerność się bez znierępliwienia, co zdaje się dowodzić, że poziom kultury życia społecznego pozwala bez obaw podejmować konfrontację racji władz z opinią publiczną.

★

Odpowiedzi WIESŁAWA OLEKSCA nie były tak zdawkowe, jak pytania. Z konieczności wybieram z nich tylko kilka wątków. Pełny stenogram byłby bowiem zbyt obszerny jak na objętość „Dunajca”. A ponadto — część spraw przekazał Prezydent do rozpatrzenia właściwym instytucjom, skąd zainteresowani otrzymają niebawem odpowiedź.

Najczęściej pytano o perspektywę zakończenia prac na nowych osiedlach. W odniesieniu do Milenium wyjaśnienie brzmiało: przychodnia służby zdrowia wchodzi do realizacji w roku bieżącym; pawilon handlowo-usługowy będzie gotów za osiem miesięcy; w 1980 roku rozpocznie się tynkowanie wieżowców. Władze miasta posiadają również dokumentację techniczną hali sportowo-widowiskowej, która byłaby połączona z zespołem krytych pływalni. Obiekt ten ma stanąć przy ulicy Nowojowskiej. Duże nadzieje na rozpoczęcie prac wiąże się z rozbudową ZNTK, SZEW i Nowomagu. Przy okazji tych miliardowych inwestycji skorzystałoby miasto. Wiadomo bowiem, że przemysł jest wciąż najsilniejszym partnerem przy podejmowaniu tak kosztownych przedsięwzięć.

Na osiedlu Barskie w bieżącym roku rozpocznie się budowę nowoczesnej szkoły z krytym basenem i przedszkola. Prezydent szuka wykonawcy i rozgląda się za terenem pod drugie przedszkole. Stąd tu w najbliższych miesiącach kioski spożywcze, warzywno-owoce i z mlekiem.

W pobliżu Barskiego nad Lubinką wyremontuje się basen; przebudowie ulegnie skocznia narciarska w Piątkowej; nad Kamienią — w obrębie przysiółka Wojska Polskiego, które stanie za Białym Kłostorem — powstanie sztuczne lodowisko.

Fantastycznie zapowiada się 16-hektarowy zalew ciągnący się od mostu w Jamnicy w kierunku Gorzkowa. Wokół akwenu — obiekty sportowe i rekreacyjne, park wypoczynku...

Centrum Kultury — na dawnym boisku „Sandecji”. I choć projekt znajduje się jeszcze na deskach architektów, za kilka miesięcy przewidziano dyskusję o jego programie. Słuszny to zamysł, bo warto z odpowiednim wyprzedzeniem rozważyć funkcje przyszłego „kombinatu” kulturalnego.

Z bliższych zamierzeń: rewindykacja części Domu Robotniczego — zajmowanego przez magazyny handlowe — na klub młodzieżowy z dyskoteką;

modernizacja Domu Kultury Kolejarska, idąca wszakże niepokojąco wolno...

Skończono już gazyfikację zachodniej i wschodniej części miasta, pora teraz na zabytkowe centrum i Starą Kolonię.

W perspektywie — do końca roku — 80 budynków na osiedlu Wólki i dalsze bloki na Barskiem. Po roku 1985 — osiedle Grunwald. Sukcesywne przenoszenie baz magazynowych i transportowych do Chelmea; obwodnica nad Lubinką, która odciąży śródmieście i pozwoli zmodernizować ulicę Tarnowską wraz ze skrzyżowaniem na Przetakówce.

W innych sprawach: częściowa rekonstrukcja Zamku; nowe tablice z nazwami ulic (jeszcze w tym roku); porządkowanie estetyki sztyldów sklepowych; ukrócenie procedury uprawianego przez budowlanych i ekipy remontowe, które niszczą chodniki, nie troszcząc się o ich naprawę; powołanie brigady dbającej np. o kosmetykę znaków drogowych i szybkie usuwanie drobnych awarii; usprawnienie wywozu śmieci i nieczystości płynnych; wyeliminowanie ciężarówek i autobusów z parkingów osiedlowych; rozważne podejmowanie wyburzeń; przywrócenie dotychczasowych godzin otwarcia sklepów i wytypowanie placówek handlowych czynnych w wolne soboty oraz niedziele (zamkniętych w poniedziałek); i — niestety — powolna likwidacja radiowęzła ze względu na duży koszt zmiany sieci napowietrznej szpecącej śródmieście, na sieć podziemną.

★

Pożyteczna rozmowa, interesująca dla obu stron, budząca zaufanie i zobowiązująca. Odbывała się w tygodniu, w którym obradował VIII Zjazd Partii. Będzie zapewne kontynuowana w trakcie kampanii poprzedzającej wybory do Sejmu i rad narodowych.

Warto rozważyć celowość tej formy społecznego dialogu w pozostałych miastach Nowosądeckiego. „Dunajec” z ochotą przyjmie zaproszenie do współudziału.



Pani się dziwi, że Kumorkiewiczową znają w Gorlicach? Toż ja tu przeżyłam całe swoje życie — siedemdziesiąt trzy lata! Łatwo powiedzieć: przeżyłam. Nie siedziałam za piecem, w czterech ścianach, przy garach i piekach, choć czterech synów wychowałam na ludzi. Na porządnym ludzi. Dobre z nich, serdeczne chłopcy. Już dorosłe. Najmłodszy, Sylwek, ma trzydzieści cztery...

A gdzież by pracowali, jak nie w „Gliniku”? My, proszę pani, całą rodziną związani jesteśmy z zakładem. Pracował tam mój mąż, i ja też pracowałam. Jak tylko skończyłam szkołę podstawową, dostałam posadę telefonistki. Pani nawet nie wie, jaki to był zaszczyt. Osiem lat mi tam upłynęło. Dopiero jak wyszłam za mąż, musiałam rozstać się z telefonami. Takie były przepisy.

Mego Józka właśnie w Zakładzie poznałam. Był robotnikiem — aż do emerytury pracował w „Gliniku”, był jed-



Zdjęcia MIECZYSLAW STASZEWSKI

# CAŁE ŻYCIE W GORLICACH

nym z tych, co porządkowali i uruchamiali fabrykę po wojnie. Ale w Zakładzie najlepiej znali go z boiska i orkiestry. Jeszcze gdy miał czterdziestkę, ganiał za piłką. A w orkiestrze zakładowej do dzisiaj gra na

niem umysłowym „Glinika”. Wiesiek pracuje jako tokarz na oddziale rotacyjnym, trzeci — Heniek — jest slusarzem na odlewniczym, a Sylwek... Sylwek był zawsze piątkowym uczniem, więc po maturze poszedł na

w sąsiedztwie partnera, wziąć stół pingpongowy na plecy i iść przez pol miasta.

Dziś wszyscy są już żonaci. mam siedmioro wnuków. Pyta pani, czy pozszyły ślady dziadków i ojców? A jak-



kornecie i flecie. Teraz też poszedł na swoją próbę.

Moje chłopaki nie chciały słyszeć o żadnej innej pracy niż „Glinik”. Szli tam wszyscy po kolei. I wszyscy, z wyjątkiem drugiego, Wieska, poszli śladem ojca na boisko. Najstarszy, Maksymilian, ma już 48 lat. Jest pracow-

Uniwersytet Jagielloński, ale ciągnął go sport, więc ostatecznie przerzucił się na AWF. Dziś uczy wychowania fizycznego w szkole przyzakładowej. Oczywiście, że też w „Gliniku”.

Wiesiek zresztą również nie uciekł od sportu. Tylko upodobał sobie... tenisa stołowego. Potrafił, jak nie było

żeb! W „Gliniku” pracuje już dwóch synów Maksa, a jeden z Heńkowych jest teraz w szkole zawodowej, bo powiedział, że nie chce iść nigdzie indziej niż do Zakładów!

Niech pani jednak nie myśli, że zerwałam z „Glinikiem” po wyjściu za mąż. Widzi pani, ja od młodej dziewcz-

czyń miałam swoje wielkie zainteresowanie: teatr. Kończyłam chyba piętnaście lat, gdy po raz pierwszy zaproponowano mi rolę w zakładowym teatrze amatorskim. Nie była to wielka rola — służącej. Żadna z występujących w teatrze pań nie chciała jej grać. I tak się zaczęła moja przygoda z teatrem. Jaka byłam szczęśliwa!

Kiedy już wyszłam za mąż, było mi trudniej. Ale żyła moja mama i ona pomagała mi w domu, przy dzieciach. Do wojny urodziłam trzech moich chłopaków, ale starałam się na jak najkrócej przerywać pracę w zespole. Sąsiadki nieraz się ze mnie podśmiały, że zgłupiałam z tym swoim teatrem, ale ja nic sobie z tego nie robiłam. Szłam na próby. To było moje życie...

Jak tylko po wojnie odrodził się zespół w „Gliniku”, znow zaczęłam grać. Było mi nielato, bo matka już nie żyła, a mąż postawił taki warunek: możesz sobie chodzić na te swoje teatry, ale ja nie będę przy dziecku. No to ja się uparłam: poradzę sobie! I na próby chodziłam z małutkim Sylwkiem. Potem zaczęłam z nim wyjeżdżać na występy. Wyobraza to pani sobie? Tęga baba (bo tęga byłam, choć nie tak jak dziś) taszczała w obu rękach walizki, a na plecach kilkuletniego dzieciaka. Sylwka to nawet nazwali „dzieckim teatrem”. Zresztą jak miał kilka czy kilkanaście lat, to i on dostawał role. A jak świetnie znał na pamięć wszystkie sztuki. Był z niego najlepszy w świecie sufler.

Dużo wtedy jeździliśmy. Cała okolica Gorlic, Biecz, Iwonicz, Ustrzyki, Rzeszów, Mielec, Stalowa Wola, nawet Gdynia i Warszawa. kto to zresztą pamięta. Braliśmy udział w akcji „wzięci miasta ze sobą”. Występowaliśmy przed najrozsławniejszą widownią, z pizeroznym programem. Były tam i składanki słowno-muzyczne (nieraz towarzyszyła nam orkiestra z „Glinika”, w której grał mój Jozek) i sztuki regionalne, jak choćby „Dwa wesela”, i repertuar „prawdziwy”, bardzo wszechstronny.

Zespołem kierowała pani Olga Węgrzyn Cudowna kobieta. Utrzymujemy z nią do dzisiaj kontakt. Ona umiała dbać o to, by nikt nie czuł się pokrzywdzony przy obsadzeniu roli. Ja na przykład byłam już nie najmłodsza i — jak mówiłam — tęga, a przecież pani Olga zawsze znalazła taką sztukę, żeby i ja mogła zagrać.

Czy pani wie, że proponowali mi nawet przejście do teatru zawodowego? Tak, tak! To było w Rzeszowie. Ale jak mogłam: dom w Gorlicach, czworo dzieci... Zostałam przy swoim zespole amatorskim. Ale do dziś mam tę satysfakcję, że widać miałam talent. Zresztą widzowie zawsze mnie oklaskiwali. Synowie mówili, że słyszeli nieraz: „Na to warto iść, bo gra Kumorkiewiczowa”.

Występowałam w naszym glinickim teatrze do samego końca. Do jego rozwiązania. Kiedy to było? Z szesnastu lat temu. Pyta pani, dlaczego teatr się rozpadł? Nie było chętnych wśród młodzieży. Nieraz zdarzało się, że nawet role młodych musieli grać starsi aktorzy. Na przykład Adam Ogonowski (pracownik fabrycznego laboratorium, dziś już na emeryturze) grał Pana Młodego w „Dwu weselach”, bo — wstyd powiedzieć — mieliśmy tylko jednego młodego aktora. Z panem Ogonowskim graliśmy razem w pierwszym powojennym przedstawieniu, razem obchodziliśmy jubileusz dziesięciolecia zespołu po wojnie i razem boleliśmy, że nie mamy następców.

Dziś już naszego teatru nie ma. Ja też nie mam wiele sił, choruję. Chciałabym wam, czy gdyby ktoś powiedział: Kumorkiewiczowa, mam dla ciebie rolę — nie poderwałoby mnie jeszcze...

„W „Gliniku” pamiętają mnie. I nie tylko w „Gliniku”. O, widzi pani: złota odznaka „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego”. Albo ta: Odznaka „Zasłużonego w rozwoju przemysłu maszyn górnictwa”. Zapraszają mnie do Zakładu na wszystkie uroczystości i na różne imprezy w mieście. Kiedyś to nawet specjalnie dla mnie występowałam. Jestem — i cała moja rodzina — trochę jakby kawalkiem żywej historii miasta, a zwłaszcza „Glinika”...

Teraz już pani rozumie, dlaczego Karolinę Kumorkiewiczową znają w Gorlicach?

Notowała ELŻBIETA GLINKA



MARIA RIEMEN o sobie:

# TA ZIEMIA JEST MOJĄ NAJWIĘKSZĄ MIŁOŚCIĄ

...Związana z nią jestem poprzez pracę pedagogiczną, działalność partyjną i poselską, sport, rodzinę...

Wzrastalam w samym centrum najpiękniejszej krainy: w Zakopanem, u stóp Tatr. Ciągnęły mnie one, kształtowały charakter... Może dlatego nie ma we mnie łagodnej ugodowości, a raz po raz wylazi rogata dusza?

Od rodzinnych stron oderwały mnie tylko studia w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Ale i wówczas wracałam wciąż w moje góry.

Pedagogiem jestem nie tylko z zawodu, ale przede wszystkim z zamiłowania. Nie może być inaczej — podstawę wszelkiego oddziaływania szkoły, wszelkich jej sukcesów pedagogicznych stanowią, nierozdzielnie ze sobą splecione, wiedza nauczyciela i jego miłość do ucznia. Nie, nie waham się użyć słowa „miłość”. Wszak nauczyciel powinien być w pewnym sensie artystą, który kształtuje, rzeźbi osobowość ucznia. I chcę to z całą odpowiedzialnością podkreślić: są nauczyciele, którzy tego nie potrafią, mało jest jednak takich, którzy nie wkładają w swą pracę serca.

Nie sposób być pedagogiem z prawdziwego zdarzenia, jeśli się nie ma dwóch cech sprawiedliwości i konsekwencji. Trzeba też umieć przyznać się do błędów. I jeszcze jedno: za słowami muszą iść konkretne czyny. Wychowanie nie znosi dwulicowości, a młodzież jest na nią szczególnie wyczulona.

Wszelkie działania pedagogiczne muszą być ze sobą zharmonizowane, przemyślane, dostosowane do warunków danej szkoły, do indywidualnych predyspozycji zarówno nauczyciela, jak i ucznia.

★

— Wciąż jeszcze za wiele jest w naszym działaniu aktywności. A jest ona wrogiem prawdziwego wychowania. Również obywatelskiego. Nie pozwala kształtować tak ważnych cech, jak systematyczność, rozwaga, konsekwencja.

★

— Uczeń musi być związany ze szkołą emocjonalnie. Służy temu, między innymi, cały system działalności pozalekcyjnej. Wiem, że w sytuacji, gdy na przykład 30 procent nauczycieli szkół gminnych dokształca się — jest to ogromnie trudne. A mimo to trzeba znaleźć na to czas, znaleźć takie formy pracy, które najlepiej odpowiadają uczniom. Mam wielką satysfakcję osobistą, że na imprezy organizowane przez moją szkołę przychodzą jej absolwenci nawet po wielu latach.

★

— Nasze nowosądeckie województwo, a zwłaszcza Zakopane, to teren trudny wychowawczo. Zjeżdżający tu wczasowicze i turyści stawiają przed młodzieżą obraz życia wypaczony, pociągający łatwością. Młodzież ma też coraz lepsze warunki materialne, ma możliwość korzystania z różnorodnych profitów związanych z przynależnością do klubów sportowych. My, pedagodzy, musimy więc uważać nad tym, by nie wypaczali się charaktery naszych wychowanków. Kląsk zwiększony nacisk na kształtowanie nawyków korzystania z dóbr kultury. Młodzież zakopiańska nie jest gorsza ani lepsza niż gdzie indziej w województwie czy kraju — wymaga tylko więcej uwagi ze względu na specyficzny charakter tutejszego środowiska.

Na podstawie wieloletnich doświadczeń doszłam do przekonania, że system oceny pracy szkół jest wadliwy. Nie wolno wystawiać im „cenzurek” tylko na podstawie ilości promowanych, lecz trzeba uwzględniać całokształt działań szkoły, służących eliminacji różnorodnych zagrożeń. W tym właśnie widzę bardzo ważką rolę szkoły i pedagoga.

★

— Kiedy przed ośmioma laty otrzymałam po raz pierwszy mandat poselski, zyskałam nową okazję potwierdzenia swych obserwacji, czynionych dotychczas z pozycji nauczyciela i dyrektora szkoły. Jeszcze lepiej poznałam przez te osiem lat problemy województwa nowosądeckiego. Przede wszystkim te najbliższe mi: problemy oświaty.

Jedną z podstawowych trudności działań oświatowych w naszym regionie jest już sama baza szkolna — jedna z najuboższych w kraju. Nie jesteśmy obecnie w stanie zapewnić należytych warunków realizacji reformy szkolnej. Dość powiedzieć, że w obecnym roku szkolnym nie rozpoczęto w województwie budowy ani jednej szkoły gminnej. Sytuację łagodzi jedynie... postawa władz terenowych i społeczeństwa, które jak mogą „łatają dziury”, adaptując różnorodne pomieszczenia dla potrzeb szkolnictwa. Na przykład w ciągu ostatnich dwóch lat powstało w ten sposób czterdzieści przedszkoli. Obliczone szacunkowo potrzeby inwestycyjne województwa w dziedzinie oświaty do roku 1988 wynoszą ponad 2 mld. złotych! Na szczęście zdołano u nas zachować rozwagę, gdy przez cały kraj poszła wielka fala hurra optymizmu w sprawie zbiorczych szkół gminnych — nasze kuratorium nie tworzyło ich na siłę, dzięki czemu nie mamy sytuacji (częstej w innych regionach Polski), że szkoły gminne pracują w nieodpowiednich warunkach.

Dodatkowe trudności w rozwoju sieci szkół gminnych Nowosądeckiego stwarza konfiguracja terenu i rozproszenie zabudowy mieszkaniowej. Na dobrą sprawę, każda nasza szkoła gminna powinna mieć swój internat, a już bezwzględnie właściwe pomieszczenia rekreacyjne, stołówki.

Ciągle też brak nam nauczycieli. Może przygotowywane obecnie decyzje centralne w sprawie priorytetów dla pedagogów decydujących się na pracę na wsi rozwiążą te trudności. Mam satysfakcję, że i ja, jako sekretarz zespołu poselskiego, wiceprzewodnicząca sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania, wniosłam w to dzieło swoją cegiełkę.

★

— Oprócz tego, że bardzo kocham młodzież — kocham też ogromnie turystykę i sport. Miałam chyba nie więcej niż 13—14 lat, gdy potrafiłam po powrocie ze szkoły cisnąć tęczkę i wyruszyć na „spacerek” Żlebem Korkora na Giewont. Biedna moja mama tylko nasłuchiwała, czy nie nadejdzie wiadomość z GOPR! Wcześniej też poznałam urok narciarstwa. Uprawiam je do dziś — jeszcze niedawno otwiera-

łam corocznie zawody o puchar naszego Liceum.

Narciarstwo jest moim hobby. Z całym więc patrzę na niezrozumiałe pozycynania różnych resortów, prowadzące w sumie do zaniku turystyki narciarskiej, odstraszające od tego pięknego sportu narciarzy średniej klasy i średniego... wieku. Niechże ktoś spróbuje skompletować sobie sprzęt narciarski przydatny na wycieczkach. Sklepy pełne są nart, wiązań, butów zjazdowych, wyczynowych lub biegowych i sladowych, brak natomiast uniwersalnych, na których można odbywać dalekie wyprawy w bardzo zróżnicowanym terenie. No i które byłyby... na miarę przeciętnej polskiej kieszeni. A przecież rozwój turystyki narciarskiej pozwoliłby na lepsze i bardziej równomierne wykorzystanie pod tym względem wszystkich terenów górskich.

★

— Te tłumy w górach! Masowa turystyka naprawdę nie ma w górach sensu! Niestety, nie tylko w anegdotach spotykamy „turystów” z teczkami, w sandałach i szpilekach, na Giewoncie, Świnicy, Rysach. Z butelką piwa albo i czegoś mocniejszego. Prasa wciąż przynosi tragiczne komunikaty o wypadkach.

GOPR ostrzega: góry są tylko pozornie łatwe! Goprowcy najlepiej o tym wiedzą. Jestem pełna uznania dla ich ofiarności. Mam wśród nich wielu serdecznych przyjaciół. Przyjaźń ta datuje się od osmiu lat; właśnie w goprowskim środowisku miałam jedno ze swych pierwszych spotkań poselskich. Potem pomogłam GOPR-owi w załatwieniu kilku spraw, no i tak wrosłam w GOPR. Dziś szczerę się tym, że powierzono mi obowiązki wiceprzewodniczącej Rady Naczelnej tej wspaniałej organizacji.

Goprowcy nie tylko ratują ludzi. Prowadzą również w całym kraju akcje profilaktyczne, przestrzegają, by żadna wycieczka nie szła w góry bez przewodnika, a żaden przewodnik nie

prowadził w góry ludzi źle ubranych, słabych fizycznie. Robią co mogą, by wypadek w górach nie był smutnym skutkiem głupoty i lekkomyślności, łatwym do uniknięcia.

Jestem jak najbardziej za tym, aby każdy Polak miał możliwość zobaczenia Tatr. Ale to, co dziś widzimy w górach, naprawdę nie ma nic wspólnego z turystyką. Niektóre doliny i trasy są dosłownie „rozdeptywane” przez ciągnące nimi tłumy.

Z drugiej strony — jeśli nie stworzymy dostatecznej bazy turystycznej i narciarskiej w innych rejonach naszego województwa — nie zdolamy Tatr odciążać. A choć Zakopane jest jednym z lepiej zagospodarowanych turystycznie ośrodków województwa — potrzeba mu jeszcze bardzo wielu funduszy i zabiegów, szczególnie w zakresie ochrony naturalnego środowiska, by mogło jak należy wypełniać swe funkcje służebne w stosunku do przyjezdnych, a równocześnie stwarzać coraz lepsze warunki swoim mieszkańcom.

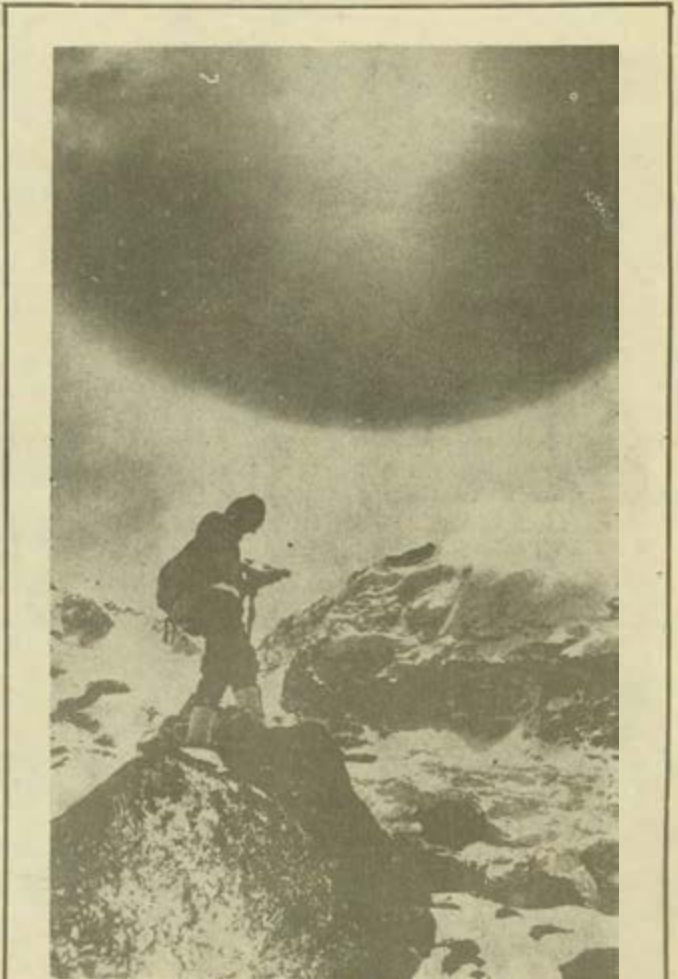
★

Nasze województwo gości rocznie ponad 15 milionów turystów i kura-cjuszy! Jak dotychczas — czerpali oni pełną garścią z jego zasobów, prawie nie dając w zamian. Bo nawet pobudowane tu ośrodki resortowe nie raczyły partycypować w inwestycjach komunalnych ani kosztach ich utrzymania, choć korzystały z wody, światła, handlu, lecznictwa itp.

Dlatego ogromne nadzieje wiążemy z państwotwórczą uchwałą rządową, która mówi o tym, jak ogromnie ważne dla całego kraju jest zachowanie niepowtarzalnych walorów klimatycznych, zdrowotnych i krajoobrazowych Nowosądeckiego.

Związana jestem z tą ziemią całym swym życiem, więc uchwała ta szczególnie mnie cieszy. Daje przecież naszemu województwu ogromną szansę.

Notowała ELŻBIETA GLINKA



CAF — ZBIGNIEW STASZYSZYN



Los mnie wyróżnił, dając za miejsce urodzenia Zakopane i góry. Całe życie spędziłam w tym najcudowniejszym miejscu na świecie, gdzie halny wiatr niesie legendy i baśnie, gdzie zawierucha śnieżna zmiata i przykrywa wszystko, co zielone i brzydkie, gdzie rozgrzane słońcem hale pachną miodem i rajem.

Tutaj przecież moi przodkowie — Zubki, Gąsienice, Bachledy i Galice, a po matce Rokiccy, Brynarscy i Pawlikowsy byli szczęśliwi i swobodni,

Ewelina Pęksowa

# MOJA BIOGRAFIA ARTYSTYCZNA

(fragment)



Fot. WŁADYSŁAW WERNER

bo natura wynagradzała szczerze za wszystko. Jestem wtopiona w tę przeszłość i w ten obraz, bez którego żyć bym nie mogła.

Kto podczas kurniawy nie stał na nartach na oblodzonym stoku, kto nie wisiał na klamrach podczas burzy, kto nie zakładał pierwszego śladu na nartach w słoneczny, wiosenny dzień, ten nie zna gór i nie wie, jak silnie można je przeżywać i czuć się z nimi związanym.

Los mnie wyróżnił, dając mi takich rodziców. Miałam wszystko, co powinno mieć dziecko. Byłam otoczona miłością, dobrocią i zrozumieniem. Przykładem świętym byli dla mnie. Narzucili mi też swoje zainteresowanie sztuką ludową. Ojciec — jak to miało miejsce w wielu domach góralskich — rzeźbił i ozdabiał bogato swe mieszkanie stylowymi sprzętami. Do późnych lat nie opuściła go ta pasja.

Dobre to były lata dzieciństwa. Chociaż głównym źródłem utrzymania rodziny była wytwórnia nart, ojciec z przywiązania do ziemi nie zrezygnował z gospodarstwa rolnego na stokach Gubalówki, które od wielu pokoleń było w posiadaniu rodziny. Zresztą, gospodarstwo to ratowało nas w trudnych czasach okupacji.

Gdy wybuchła II wojna światowa, ukończyłam 16. rok życia, a za sobą miałam gimnazjum ogólnokształcące. Ojciec zaprzestał, wbrew nakazom okupanta, produkcji nart i wszyscy zajęliśmy się gospodarstwem rolnym. Ja zaś kontynuowałam przy tym w miarę możliwości naukę w zakresie liceum. Wraz z siostrą żyłyśmy stale pod groźbą wywozu na przymusowe roboty do Niemiec.

W kwietniu 1944 roku wyszłam za mąż za górala, Władysława Pękę, magistra praw. Ponieważ był on ściągany przez gestapo za organizowanie przerzutów oficerów polskich na Węgry, ukrywał się od maja 1940 roku w okolicach Krakowa, pod przybranym nazwiskiem Zbigniew Wojdyna. Pod

takim nazwiskiem zawarliśmy ślub i takie nazwisko nosiłam do końca wojny.

Jeszcze trwały walki pod Witowem (12 km od Zakopanego) i dopiero drugi dzień upłynął od oswożenia Zakopanego, gdy pieszo wróciliśmy w nasze ośnieżone góry, za którymi tak bardzo tęskniliśmy. Po powrocie zamieszkaliśmy w gospodarskim domu ojca, w którym do dzisiaj mieszkamy. W 1946 r. urodził się nasz pierwszy syn, Stanisław, a w roku 1951 drugi syn, Marek. Tak więc zajęłam się przede wszystkim wychowaniem dzieci, gospodarstwem i hodowlą. Z czasem po-

CPLiA w Warszawie. Nieoczekiwanym sukcesem było dla mnie uzyskanie w tym konkursie I i II nagrody oraz wyróżnienia za poszczególne obrazy.

Moja pierwsza indywidualna wystawa miała miejsce w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem w 1972 roku. Skromnie to były początki. W holu Muzeum wystawiono 30 obrazów, kilka witraży oraz malowane talerze. Ale już w tym samym roku miałam wystawę w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, na której znalazło się około 120 obrazów i 30 malowanych witraży. W następnym, 1973 roku, zorganizowano podobną wystawę w Warszawie, w „Domu Chłopa”.

Te dwie ekspozycje otworzyły mi drogę do salonów wystawowych całej Polski i wielu krajów Europy. Wystawy indywidualne miały miejsce w wielu miastach w kraju, zaś za granicą organizowano je w Anglii, Szwecji i w Berlinie Zachodnim. Udziału moich prac w licznych wystawach zbiorowych byłoby mi trudno wyliczyć. Do okolicznościowych katalogów wpisywali zawsze dla mnie cenne opinie: mgr Helena Sredniawa, mgr Anna Belzowa, Bent Bengtsson (Szwecja), Vittore Querel (Włochy), Gertrude Weinhold (RFN) oraz wielokrotnie prof. dr Roman Reinfuss i mgr Aleksander Jackowski.

W 1973 roku zaczęłam malować obrazy na szkle większego formatu: 60x50 cm, a następnie 80x60 cm. Te wielkości bardzo mi odpowiadają, ponieważ kompozycja staje się pełniejsza i można przy tym szukać nowych rozwiązań, dotychczas jeszcze nie stosowanych w malarstwie na szkle.

Nie uczyłam się rysunku, dlatego moje szkice i podkłady są uproszczone. Operuję skrótami i czasem są w nich błędy formalne i duża przypadkowość. Nie poprawiam moich rysunków. Wszelkie nieprawidłowości stwarzają wyraz. Natomiast „ulepszanie” doprowadziłoby do naturalizmu.

Od urodzenia mam poważne wady wzroku, ale nie jest to dla mnie żadną przeszkodą. Ludzie, którzy widzą słabo, raczej odczuwają świat, niż dostrzegają jego szczegóły. Stają się przez to bardziej wrażliwi na kolor, formę, sylwetkę i kompozycję. Czasem są nawet zmuszeni wyostrzać swoją wyobraźnię, nie widząc dokładnie przedmiotu.

Ogromną radość sprawiła mi wystawa w 1976 roku, zorganizowana przez Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem. Była to wystawa rodzinna, na której oprócz moich obrazów znalazły się pierwszy raz ekspozowane obrazki na szkle mojej synowej Jolanty oraz stylowe góralskie meble wykonane przez mego ojca, Stanisława Zubka i moich synów, Stanisława i Marka. Niektóre z nich były malowane przez drugą synową, Annę.

W moje malarstwo dużo wnoszą ludzie znajomi i nieznajomi, którzy zwiędzają moje wystawy i odwiedzają mój dom. Każdy człowiek ma inne podejście do życia, inaczej widzi i odczuwa świat, wokół innych spraw krąży jego myśl. Te obserwacje nasuwają mi różne refleksje, życie staje się bogatsze przez doświadczenia innych, a te moje odczucia często uwiadcniają się w moich obrazach.

Muszę przyznać, że wiele zawdzięczam mojej rodzinie, która zawsze tolerowała moje zainteresowania i „pomysły”, nie okazując zniecierpliwienia, gdy ja przewracałam dom do góry nogami, malowałam ściany, sufity i drzwi. Tolerowali to również moi przyjaciele, którzy pozwalali sobie malować piece, kominy i szyby w mieszkaniach. Wiem, że uczyłam się ich kosztem, ale oni wierzyli we mnie.

Zastanawiano się, do jakiej grupy twórców należy mnie zaliczyć. I tak byłam już artystą amatorem, potem twórcą ludowym, potem znów amatorem, a nawet twórcą naiwnym. Były też kłopoty z zaopiniowaniem mego wniosku o przyjęcie do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Dopiero dzięki opinii Muzeum Etnograficznego w Krakowie, a w szczególności jego dyrektora, mgr Edwarda Waliłory i prof. dr Romana Reinfussa otrzymałam w 1974 roku legitymację tego Stowarzyszenia. Jedynie Ministerstwo Kultury i Sztuki nie miało zastrzeżeń, nadając mi w 1976 roku uprawnienia artysty plastyka na podstawie mojej twórczości ludowej. W tym samym roku dostałam nagrodę im. Oskara Kolberga, za usługi dla kultury ludowej. Ja sama wyszłam ze sztuki ludowej i czuję się z nią nadal trwale związaną.

Muzeum Tatrzańskie i Stowarzyszenie Twórców Ludowych uznało w 1976 roku moją pracownię jako izbę twórczą, a w związku z tym dom mój jest otwarty dla wszystkich, których uprawiana przeze mnie sztuka interesuje. Posiadam tutaj zbiór około 300 własnych obrazów na szkle z różnych okresów twórczości. Nie wyzybam się tych obrazów, chociaż od początku mojej twórczości współpracuję z BHZ DESA, która często ekspozuje moje obrazy za granicą.

W tej mojej przygodzie malarskiej zetknęłam się z wieloma ludźmi i instytucjami, którym winna jestem wdzięcznością za okazaną zyciowość. Trudno wyliczać, bo lista byłaby ogromna. Pomagano i organizowano mi wystawy, każdą moją inicjatywę podtrzymywano i starano się ją zrealizować. Ja wiem, że więcej biorę od ludzi, niż jestem w stanie dać z siebie. I to mnie zachęca i inspirowało do dalszej pracy.





Ewa Korczyńska — „Ewa” i Maria Szerocka — „Mucha”. Bohaterskie łączniczki ruchu oporu, kurierki tras Warszawa—Budapeszt. O wojennych losach dziewcząt — łączniczek piszemy poniżej.

## Józef Bieniek

# Żywej mnie nie wezmą...

Cechą charakterystyczną polskiego ruchu oporu w latach ostatniej wojny był fakt, że w jego strukturze operacyjnej kobiety odegrały bardzo ważną — a na pewnych odcinkach decydującą rolę. Rzecz przy tym zmiennią, że ich udział w antyhitlerowskim podziemiu ujawniał się szczególnie mocno nie na mniej zagrożonych, bo mało operatywnych obszarach konspiracji cywilnej i politycznej — ale przede wszystkim tam gdzie było najtrudniej: w podziemiu wojskowym.

Gdy po latach grzebię w saksiku wspomnień — stają mi przed oczyma przede wszystkim te kobiety, z którymi prowadząc łączność podziemną stykałem się na co dzień, lub o których tylko słyszałem: **ŁĄCZNICZKI**. Działające na zasadzie naczyni krwionośnych w organizmie ludzkim — wiązały komórki strukturalne podziemia w jedną sprawnie funkcjonującą całość. Przyszło im płacić za to jakże często życiem!

I zawsze w takich chwilach żałuję, że nie mam władzy rozkazowania. Wydałbym bowiem dekret, aby każdego roku w dniu Święta Kobiet setką artyleryjskich salw uczcić pamięć tych, które ginęły po to, aby nie zginęła Ona — Polska.



Powiedziała kiedyś, po złożeniu przysięgi konspiracyjnej: *żywej mnie nie wezmą!* I nie wzięli. Ale nim się to stało — zapisała w księdze dziejów kobiecego żołnierstwa jedną z najpiękniejszych kart; otrzymała — jako jedna z niewielu — Order Virtuti Militari.

MARIA PAJERSKA — bo o niej dziś mowa — córka urzędnika sądowego w Nowym Targu, po ukończeniu studiów w UJ pracowała do wybuchu wojny jako nauczycielka w prywatnym gimnazjum Giżyckiego w Warszawie na Wierzbnie. Poza pedagogiką pasjonowała się różnokierunkową działalnością społeczną i... górarni.

— *Jestem tak zaharowana* — pisała w listach do rodziny — *że nie mam czasu ani na miłość, ani na małżeństwo.*

— *Źródłem, z którego czerpię moją siłę i mądrość patriotyczną, jest harcerstwo.*

— *Ech, gdybyście tak mogli przystać mi... choćby kawałek Giewontu! Postawiłabym go na Placu Zbawiciela, niechby ucichły moje tęsknoty, a zakopcone wielkomięjskim smrodem dusze ceprów niechby się zbawiały w widoku piękna.*

Jako działaczka Wojskowego Przy sposobienia Kobiet wzięła udział w obronie stolicy, walcząc na wrześniejących barykadach. Po kapitulacji Warszawy wróciła do Nowego Targu i zamieszkała u rodziny przy ulicy Szafarskiej 6. Tym razem nie po to, aby uciszyć swoje tęsknoty za pięknem gór. Ponad wszelkimi fascynacjami stało pragnienie walki z najeźdźcą. Taką broń, jaką podsunęło jej powstające właśnie podziemie: została łączniczką w służbie terenowych komórek rodzącego się akurat Inspektoratu Związku Walki Zbrojnej „Podhale”. Pod pseudonimem „Marynka”.

Wnet też, angażując się głównie w przetrzytą graniczną i łączność, stała się jedną z najwybitniejszych działaczek wojskowego podziemia na Podhalu.

W pierwszej połowie 1940 r. „Marynka” przerzucono na front łączności dalekiego zasięgu, gdzie wciąż jeszcze rządziły prawa chaosu, żywiołu i przypadku, i gdzie wiele elementów trzeba było budować od nowa.

Mając do pomocy ofiarny zespół współpracowników, rychło uporala się z podstawowymi trudnościami i już w czerwcu 1940 r. uruchomiła stałą linię kurierską na trasie: Warszawa — Kraków — Nowy Targ — Raba Wyżna — Jablonka — Trstena — Kralovany — Zvolen — Lučenec — Budapeszt. Zmontowaną i pracującą na zasadzie sztafety. Pod kryptonimem „Szkoła” — jako że wśród jej twórców i uczestników przeważało nauczycielstwo.

Wiosną 1940 r. Komenda Główna ZWZ zreorganizowała kulejając dotychczas wskutek rozczłonkowania aparat łączności zagranicznej, tworząc jeden „kombinat” nazwany „Odcinkiem Południem”. W skład „Południa” wchodziły 4 pododcinki kierunkowe: Nowy Targ (kryptonim „Teresa”), Nowy Sącz („Sabina”), Krosno („Kazimiera”) i Sarnok („Bronisława”).

Narada na ten temat odbyła się 22 lipca 1940 r. w Krakowie, w mieszkaniu arcydziełowej i arcydziełowej

nazwisku rodziny Adolfa i Elwiry Hoffmannów, przy ulicy Bosackiej 14. Tu właśnie „Marynka” otrzymała nominację na szefa „Teresy”.

Głównym terenem jej zabiegów stało się Podhale, a zwłaszcza samo pogranicze, gdzie utworzony został cały zespół melin dla łączników i kurierów oraz punkty kontaktowe i etapowe dla odbioru i przekazywania poczty. Sama „Marynka”, poza synchronizowaniem działania pięcioczołowej sztafety „Szkoły” — bardzo często osobiście przewoziła pocztę budapeszteńską na warszawskie skrzyżki kontaktowe: Komendy Głównej ZWZ.

Dzięki energii, pracowitości i zdolnościom organizacyjnym „Marynki” — „Szkoła” funkcjonowała z punktualnością „Tissota”. Choć zdarzały się momenty, w których najdoskonalszą nawet pracę danej trasy mąciła, przerywała lub zgłoła niweczyła wpadka na linii, z czym zresztą w tamtych warunkach liczone się na co dzień, tworząc warianty rezerwowe, do uruchomienia na wypadek jakiegokolwiek „awarii”.

Takim zgrzytem w aparacie „Szkoły” była sprawa kurierki „Muchy” — Marii Szerockiej. Wysłana z nagłą pocztą kursem indywidualnym do Budapesztu, holowana przez Józefa Smutka z Jablonki, znużona czekaniem na połączenie w Kralovanych; wyszła na dwór i wpadła prosto w łapy żandarmerii. A „synały” ją najzwyczajniej w świecie... papieros. W owe czasy bowiem na Słowację widok kobiety palącej na ulicy był wprost nie do pomysłenia. Skoro więc żandarmi zobaczyli dziewczynę z papierosem, nie mieli żadnych wątpliwości: obca.

Została aresztowana i przekazana placówce Grenzschutzu w Czarnym Dunajcu, gdzie przebywała w śledztwie przez kilka dni. Na sztyfowany telefon o wpadce „Muchy” dostała „Marynka” jedną odpowiedź: „Mucha” da sobie radę, ale za wszelką cenę nie wolno dopuścić, aby pocztą dostała się w ręce wroga.

Na razie poczcie nie nie groziło: fiolkę z mikrofilmem ukryła „Mucha” w taki sposób, że prowadzący wstępne śledztwo niczego nie znaleźli. Ale trzeba było ją odzyskać, nim „Muchę” przewiozą do zakopiańskiej siedziby gestapo w Pałace. Udała się więc

## JERZY MASIOR

# Marcinkowice

Wzgórza w łagodność pochylone,  
krzyże dziecięcej niepamięci,  
a między nimi cali w miętach  
drzemią wojenni wszyscy święci.

Gdzie dzika róża wsparta gruszą  
z lat nanizanych marszczy korę —  
ziola swą wonność barwną suszą,  
doliny sen swój od ziół biorą.

Nad popołudniem stoi cisza,  
w stawach wiklina zieleń krusze  
i toną słowa, w których słysze,  
że były czyjsze — są niczyje...

Od dna mrocznego lat zwierciadła  
odbija wernie moja rzeka,  
a w cieniu wierzy, w nurcie wiecznym  
na wędkę ojca szczupak czeka.

Droga do dołu i pod górę  
i drzewa jakieś — nie wiem jakie.  
Na końcu drogi wędze w chmurę —  
drzewa i chmury tu jednakie.

Wzgórza w łagodność pochylone,  
spłecione lata — lawka w nadziei,  
czyżby te chwile dogonione  
to cień, co serce oczom kładzie...

„Marynka” do Czarnego Dunajca i obgadała sprawę ze znajomym księdzem, który pod pozorem spowiedzi dostał się bez świadków do aresztowanej i załatwił, o co chodziło.

Z sytuacji takich „Marynka” wychodziła zawsze obronną ręką. Prawdziwe kłopoty zaczęły się wiosną 1941 roku, gdy gestapo wpadło na trop agentów „Teresy”. I czerwca został aresztowany na stacji w Nowym Targu zwierzchnik „Marynki” z krakowskiej Bazy Przerutowo-Łącznościowej, kpt. Józef Prus — „Adolf”. Równocześnie aresztowano kilka innych osób powiązanych z łącznością zagraniczną. „Marynka” była akurat z pocztą w Warszawie; jej krakowski współpracownik obstawili pociąg powrotny i wyciągnęli „Marynkę” z wagonu. Uprowadzona, że stacja w Nowym Targu i jej dom są obsadzone przez gestapo — wróciła do Warszawy, gdzie otrzymała nowe dokumenty, pracę w Komendzie Głównej ZWZ i mieszkanie u Zofii Kunickiej przy ul. Górskiego.

Przeobrażona zewnętrznie przy pomocy fryzjera, wody utlenionej i innych zabiegów, rozpoczęła nowy rozdział swego życia jako pracownica Komórki Łączności Zagranicznej przy Oddziale V Komendy Głównej ZWZ. W pierwszym etapie wędrowała po Mazowszu, organizując sieć melin w związku z opracowywaną właśnie mapą zrzuć lotniczych.

Sprawa ta została niebawem przekazana Wydziałowi Zrzuć, a „Marynka” przeszła na kurierski szlak, obsługując między innymi linię Warszawa—Lwów. W tym okresie zmieniła nazwisko i adres, przenosząc się do willy Szaniawskich przy ul. Zakręt na Sadybie. Nie wiadomo, co zadziało: zdrada, wyspa, przypadek czy wynik rozejnej inwigilacji — ale właśnie tu, u Szaniawskich dokonał się jej los.

12 sierpnia 1942 r. nocą w drzwi pokoju „Marynki” załomotały kolby. Był świt. Zerwała się i skoczyła ku oknu z zamiarem ucieczki. Ale jeden rzut oka pozbawił ją wszelkich złudzeń: dom był otoczony. — *A jednak ucieknę* — zdecydowała sięgając po fiolkę z cyjankali. — *Żywej mnie nie wezmą.*

I kiedy przez wywalone drzwi, w wrzaskiem i przekleństwach, wpadła wataha gestapowców — „Marynka” już nie żyła.



## prosto od krowy

Tytuł niniejszej rubryki zapożyczaliśmy od Imc Pana Melchiora Wańkowicza — króla polskich reporterów. Sam jej zamysł — zbiór ciekawostek i aktualności na temat spraw bliskich i dalekich — także nie jest nowy; przedwojenna „Gazeta Podhalańska” podawała na jednej kolumnie wieści z Nowego Targu i Nowego Jorku, pisała o przelocie przez Atlantyki, pożarze w Waksmundzie, przesileniu rządowym w Warszawie albo Paryżu, i o nowym soltyisie w Czarnym Dunajcu — w tej samej, pozornie monoton-

nej formie graficznej, bez specjalnej hierarchii. Czytelnicy bardzo to lubili. Ów rzekomy brak kompozycji stwarzał bezpośrednią, swojską atmosferę. Chcielibyśmy nawiązać do tej dobrej tradycji góralskiej prasy.

Mamy nadzieję, że Czytelnicy wraz z nami będą redagować „Prosto od krowy”. Czekamy na Wasze listy!

Redaguje Antoni Kroh



### Dyrektor? Magister? Naczelnik?

Osoby, wysmiewające się ze współczesnej tytułomanii, z jej zadęcia i śmiesznej pozy, niechaj przypomną sobie, jaki był pełny, oficjalny, urzędowy, tytuł cesarza Franciszka Józefa Pierwszego (i zarazem ostatniego):

Franciszek Józef I, Cesarz Austrii, Król Węgier i Czech, Lombardii i Wenecji, Dalmacji i Kroacji, Sławonii, Galicji, Lodomerii i Ilirii, Król Jerozolimy, Arcyksiążę Austrii, Wielki Książę Toskany i Krakowa, książę Lotaryngii, Salzburga, Styrii, Karyntii, Krainy i Bukowiny, Wielki Książę Siedmiogrodu, Margrabia Morawii, Książę Górnego i Dolnego Śląska, Modeny i Parmy, Piacenji i Gwastalii, Oświęcimia i Zatora, Cieszyna, Fryulu, Raguzy i Zadry, uksiążęcy hrabia Habsburga, Tyrolu, Kyburga, Gorycji i Gradyski, Książę Trydentu i Bryxenu, Margrabia Górnej i Dolnej Luzacji i na Istrii, Hrabia Hohenembsu, Feldkirchu, Bergencu, Sonnenberga, Pan Triestu, Kottaru i na Marchii Widyjskiej, Wielki Wojewoda Województwa Serbskiego itd. itd.

## Jednej matki niejednakie dziatki

Była sobie mama, co miała dwoje dzieci. Mama pracowała w instytucji państwowej, więc żyła sobie wesoło a szczęśliwie. Aż tu pewnego dnia Jasio zachorował. Mama poszła z Jasiem do pana doktora, który zapisał To oraz Owo i kazał brać trzy razy dziennie.

Teraz się zaczęło: mama poprosiła o zwolnienie lekarskie na opiekę nad dzieckiem.

— Czy Jasio chodzi do przedszkola? — zapytał pan doktor.

— Nie, przed południem, kiedy jestem w pracy, opiekuje się nim sąsiadka.

— Wobec tego nie mogę pani dać zwolnienia, ponieważ istnieje przepis, który mówi, że nie przysługuje zwolnienie na opiekę nad dzieckiem w wieku przedszkolnym, które do przedszkola nie chodzi.

— Ale to bzdura! — zawołała matka.

— Naturalnie, że bzdura, zupełnie nieżyłowy przepis, wiem o tym dobrze i długo mógłbym opowiadać, jakiego powoduje tarapaty, ale nie mam czasu. Lecz może jakoś sobie poradzić. Ma pani dwoje dzieci, prawda? A to drugie jest młodszego? Świetnie; wystawię pani zwolnienie na to drugie, zdrowe dziecko, gdyż jest ono w odpowiednim wieku.

Koniec historyjki. Cóż, bzdura jak wiele innych. Prawdopodobnie autorzy owego zarządzenia założyli sobie, że osoba, opiekująca się dzieckiem zdrowym pod nieobecność matki, może się również opiekować dzieckiem chorym. Nonsens widoczny na miłę. Może więc pan radca prawny sądeckiego ZOZ wyjaśni, co to za przepis, kto go wydał i kto powinien go jak najszybciej uchylić?

### Niedźwiedź

Tatrański niedźwiedź, o którym szeroko pisała prasa, nie żyje. Niedźwiedź nie atakował ludzi, spacerował sobie spokojnie po Parku Narodowym, ludzie go dożyłali, fotografowali. Aż tu ktoś go uśmiercił.

Z owej historyjki my, którzy zostaliśmy przy życiu, możemy wyciągnąć następujące wnioski:

1. Popularność, płynąca z wyjątkowości, może być przyczyną tragicznej śmierci;

2. Jeśli ktoś sądzi, że jest bezpieczny, ponieważ uznano go za zwierzę chronione, to się grubo myli;

3. Ludzie przepadają za niedźwiedziami, ale tymi z Krupówek albo z Gubałówki, z którymi można zrobić sobie zdjęcie; prawdziwe niedźwiedzie są w niełasce i tak będzie nadal;

4. Skoro już urodziłeś się niedźwiedziem, to nie tań po Kalatówkach, bo to nie żadne tony natury, tylko zwykły deptak. Lepiej skryj się gdzieś w gąszczu albo przeciwnie, idź do dyrektora cyrku i za swe niedźwiedzistwo każ sobie dobrze zapłacić. Pośredniej drogi w zasadzie nie ma.

5. Skoro jesteś niedźwiedziem, to śpij w porze zimowej, bo takie jest prawo natury; jeśli zaś cierpisz na bezsenność, to kup w kiosku „Dunajec”, ulóż się wygodnie i zacznij czytać. Skutek zapewniiony!



Krynicę fotografował JERZY ŻAK



prosto od krowy

Trzy publikacje,  
z których dwie są,  
a trzeciej nie ma

Miłośnicy góralskiej kultury ludowej przyjęli z zainteresowaniem ukazanie się (po 58 latach przerwy) drugiego tomu „Rocznika Podhalańskiego”. Mamy zamiar niebawem zrecenzować tę cenną pozycję. Na razie wyrażamy najserdeczniejsze gratulacje pracownikom Muzeum Tatrzańkiego, a Tadeuszowi Szczepankowi w szczególności, za wydanie „Rocznika”, który z pewnością będzie miał duże powodzenie.

Cieszymy się także ogromnie z „Historii Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku” pod redakcją Henryka Barycza, wydanej staraniem Towarzystwa Miłośników Starego Sącza. Również planujemy w najbliższym czasie zrecenzowanie owej wartościowej monografii jednego z najpiękniejszych polskich miasteczek.

Niezbyt natomiast raduje nas fakt, że „Monografia Muszyny i Tylicza”, napisana już w 1975 roku, nie ukazała się do chwili obecnej. Prosimy, by Dział Wydawnictw Uniwersytetu Jagiellońskiego poinformował Czytelników „Dunajca”, jakie są losy tej publikacji i kiedy zobaczymy ją w księgarniach.

## Głuchoniemy prorok we własnym kraju

Który z artystów polskich miał największą ilość wystaw za granicą? Wiadomo, Nikifor. Obrazki, które przed dwudziestu laty sprzedawał na krynickim deptaku po 5—10 złotych albo rozdawał za darmo, obecnie wyceniane są na kilka lub kilkanaście tysięcy, a ich wartość handlowa szybko rośnie. Istnieje nawet podobno wytwórnia fałszywych „Nikiforów”. Nie istnieje natomiast porządny album czy katalog prac tego artysty, a monografia Elli i Andrzeja Banachów „Historia o Nikiforze” jest książką bardzo trudno dostępną.

W listopadzie i grudniu ubiegłego roku Nikifor odniósł kolejny sukces artystyczny, tym razem w Zurychu. Tamtejsza galeria „Quadriga-Forum” otwarła wystawę akwarel krynickiego prymitywisty; część prac pochodzi z Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu. Recenzenci „Neue Zürcher Zeitung”, „Badener Tag-

blatt”, „Tages-Anzeiger” i innych gazet rozpisują się szeroko o wyjątkowej wartości plastycznej dzieł Nikifora, o jego niepowtarzalnej indywidualności. Wobec napływu zwiedzających wystawę przedłużono do końca lutego.

A jednocześnie w „Gazecie Południowej” Janusz Roszko zauważa, zresztą nie po raz pierwszy, że Krynica wciąż wstydzi się swego najsłynniejszego ziomka. Nie ma w tym uzdrowisku najmniejszej ekspozycji, izby pamięci czy choćby skromnego poikoiku-muzeum artysty.

A no, nie ma. Skoro po tylu latach, po tylu artykułach i reportażach władze krynickie nic nie zrobiły w tej sprawie, to trudno mieć nadzieję, by odpowiedziały na felieton Roszki. Wydaje się, że zareagują jedynie wtedy, gdy dostaną surowe polecenie „z góry”. Wtedy ten skandal wreszcie się skończy.

## Andrzejowi Górszczykowi autorowi poematu „Beskidy”

Nieprawdą jest,  
jakoby góry pokrywały się  
śnieżnym całunem.  
Nieprawdą jest,  
jakoby ze szczytu widać było  
srebrną wstęgę rzeki.  
Nieprawdą jest,  
jakoby w górach, mity bracie,  
swoboda czekała na cię.  
Nieprawdą jest,  
jakoby jesienią buczyła rudziąla.  
Wszelkie te bzdury  
trać ważność z dniem dzisiejszym,  
ponieważ po prostu  
wydychały bezpotomnie,  
idąc za przykładem  
starych zamydlaczy rzeczywistości.  
Natomiast prawdą jest,  
że moralnym obowiązkiem  
współczesnego człowieka  
jest wysiąść w Rytze,  
przybić pieczętkę,  
wejść na Przehybę,  
przybić pieczętkę,  
zejść do Gabornia,  
przybić pieczętkę  
i podumać sobie intymnie:  
„Dzielne ze mnie chłopisko.  
W trudzie i znoju  
zdobyłem 28 punktów  
na Górską Odznakę Turystyczną  
a może 29  
i wcale to, a wcale  
nie bałem się wilków  
ani hipopotamów.”

## Wspomnienie

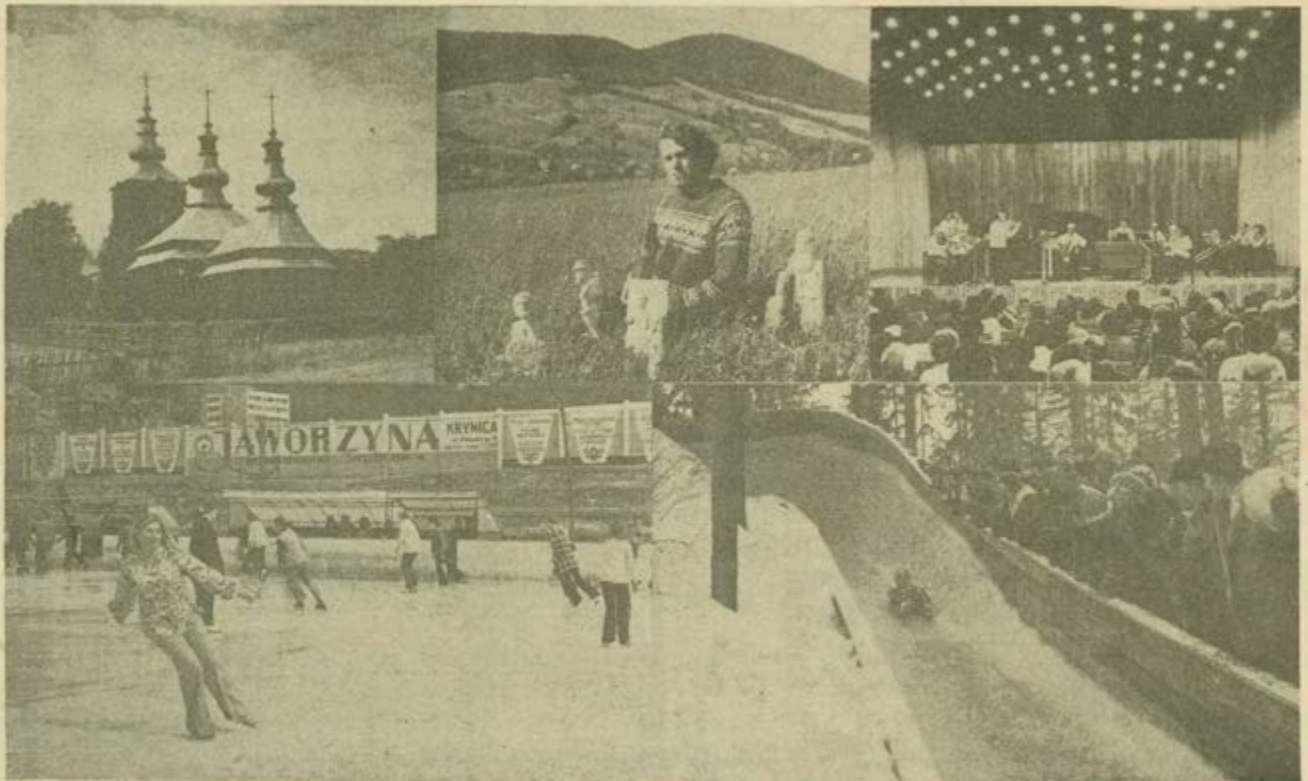
Zmarł Antoni Rząsa, jeden z najwybitniejszych polskich twórców XX wieku. W prasie pojawiły się wzmianki, przypominające swą stylistiką urzędowe pokwitowanie.

Gdyby Rząsa mieszkał po drugiej stronie Tatr, w Rużomberku, wdzięczne miasto zbudowałoby mu galerię, jak Ludovito Fulii...

Poznałem go kilkanaście lat temu, kiedy przyciśnięty brakiem pieniędzy zdecydował się sprzedać Muzeum Tatrzańskiemu jedną ze swych rzeźb. Zajechaliliśmy saniami pod internat Liceum Kenara, na samym końcu ulicy Za Strugiem. W skromnym mieszkaniu Rząsa stały i wisiały rzeźby, które zrobiły na mnie bardzo głębokie wrażenie. Jedną z nich, Pięte, załadowaliśmy na sanie. Furman cmoknął na konia. Rząsa stał na środku drogi, zdjął czapkę i patrzył ze smutkiem za oddalającymi się saniami i górującą nad nimi, zabejcowaną na czarno bryłą. Stał tak, coraz mniejszy i mniejszy, dopóki nie zniknęliśmy mu z oczu.



— Jeśli zlikwiduje pan łapownictwo w naszym zakładzie, ma pan u mnie talon na „fiata”!  
Zbigniew Ziomecki — „SZPILKI”







„Podhale w ogniu”, „Janosik”, „Jadą goście, jadą...” Ziemia nowosądecka wciąż czeka na ambitny film.

Nielatwo znaleźć w Polsce region równie urzekający i efektowny pejzażowo, co Tatry i całe ich przedpole, ścielące się aż po granice Beskidu Wyspowego. Kiedy jednak zrobić rachunek, jak to piękno zostało spożytkowane na taśmie filmowej, w jaki sposób połączono je z żywymi sprawami ludzi i burzliwą historią górskich okolic, wtedy można powiedzieć, że niewiele tu dotąd zostało dostrzeżone kamerą i wyrażone autentyczną treścią. Ta ziemia pozostaje ciągle ziemią bogatych nadziei i ciągle czeka na swoje dumne opisanie.

W same Tatry i do Zakopanego filmowcy ciągnęli ochoczo. Już wśród pierwszych dziesięciu nakręconych po wojnie filmów znajduje się CZARCI ZLEB, górski sensacyjno-przygodowy film Kańskiego i Vergano. W kilka lat później Andrzej Munk, który kochał te strony autentycznie, spotkał się z Sergiuszem Sprudinem; który umiał równie autentycznie wyrazić kamerą skalną czerń i biel: w BŁĘKITNYM KRZYŻU rzetelnie zrekonstruowali wojenną akcję z 1945 roku, kiedy GPRP ratował na przełęczach rannych radzieckich łączników. (Tu warto dodać — bo bardzo

— to ambitna rozprawa etyczna o sprawowaniu władzy, o jej obowiązkach, koniecznościach i dramatach; kończy się wręcz niezwykle ambitnie, bo parafrazą „Wesela”. Cóż jednak po ambicjach, skoro przyniosły niewypalodogorywający w klimacie moralnego kaca... A powinien był ten film dawać oczyszczający powiew świeżego powietrza, jak inne rachujące się z rzeczywistością dzieła świetnego dziś kina polskiego; i istniały po temu szanse w nieporównanie lepszym pierwowzorze powieściowym Michała Jagielly. Nie, stanowczo Zakopane i okolice nie mają szczęścia na

wego przynosiła na podgórskich ziemiach historia, to i tak trudno się czymkolwiek ucieścić. Względnie najlepszy, dynamiczny i ciekawy, ale w końcu blahy jest pierwszy z dwóch filmów Zbigniewa Kuźmińskiego o powojennych walkach z ugrupowaniami podziemia — MILCZAŁE ŚLADY z roku 1960. Drugi, o 17 lat późniejszy (KRÓTKIE ŻYCIE) jest całkiem nieudany, pomimo ładnych plenerów tatrzańskich (ale słowackich). Podobnie tylko świetnym opisaniem krajobrazu przez Jerzego Lipmana (trzeba i to chwalić — bo rzadkie!) dał się zapamiętać beskidzki partyzancki DZIEŃ OCZYSZCZENIA Jerzego Passendorfera. Im zaś dalej w historyczną przeszłość, tym gorzej: telewizyjny JANOSIK tegoż reżysera, prawda, że bardzo popularny — jest żenująco infantylny, wręcz glupkowaty (a jak piękny i wybitny artystycznie film o tym samym bohaterze potrafił zrobić już w 1935 roku Słowacy, którzy zresztą w dziesiątkach filmów tak właśnie odmalowali swoją górską ziemię, jak jej to

Adam Garbicz

## ZIEMIA NIE SPOSTRZEŻONA

mało kto o tym wie — że zaraz po BŁĘKITNYM KRZYŻU Munk raz jeszcze osadził swoją opowieść w Tatrach: było to w 1957 roku w „Zakonnicy”, pierwszej z planowanych trzech części wspólnie z EROIKI, filmu o trzech obliczach polskiego bohaterstwa. Niestety, EROICA wyszła za długa i „Zakonnica”, choć wcale niezła, odpadła, jako najmniej dopasowana konstrukcyjnie do reszty).

Ale po BŁĘKITNYM KRZYŻU im więcej się kręciło w Zakopanem, tym było gorzej. W kolejnych scenariuszach o tatrzańskich kurierach i wojennych kolejach losu tych okolic wyeksplorowano wszystkie obrósłe legendą fakty (jak ów skok na nartach z kulek na Kasprowy w ucieczce przed hitlerowcami); wyeksplorowano do tego stopnia, że dwa dotąd najgłośniejsze procesy o autorstwo filmu kinowego i serialu TV dotyczyły właśnie scenariuszy „górskich” (BIAŁEGO NIEDZWIEDZIA I TRZECIEJ GRANICY) i tego, kto od kogo ściągnął dla nich pomysły. Niestety, z rezultatami artystycznymi było marnie, a ZNICZ OLIMPIJSKI z roku 1969, który miał stać się najpiękniejszym świadectwem okupacyjnego ruchu oporu na Podtatrzu, był najbrzydszym zmnarowaniem tego tematu.

Kiedy zaś górską okolicą jest wykorzystywana w filmach współczesnych, to najczęściej po to, aby pod wysokimi i czystymi wierzchołkami pokazać ludzką małość, niegdzłą się w Zakopanem (jaki piękny efekt! Wymyślił go zresztą André Gide, de Alp oczywiście). Motyw taki spotkać można i u Andrzeja Wajdy w CZŁOWIEKU Z MARMURU, i w filmach mniej znanych; ostatnio zajął on cały metraż HOTELU KLASY „LUX” Ryszarda Bera, obrazu ulokowanego w scenarii „Kasprowego” (zwłaszcza podobieństwa do rzeczywistości mają być — a jakże — przypadkowe). Film Bera

ekranie, ponieważ są tylko dekoracją dla wymyślanych gdzie indziej fabuł. Kiedy tu powstaje komedia, to oczywiście o przyjeźdźnych cwaniaczkach i oczywiście partacka (JAK TO SIĘ ROBI); o wiele za to bardziej do śmiechu (z pomysłów reżysera) okazuje się film rzekomo sportowy, gdzie mamy kadrę zjazdowców i gdzie meczy się na nartach Iga Cembrzyńska (SCIANA CZAROWNIC). W innym dramacie (ZUZANNA I CHŁOPCY) meczy się jako grotolaz sam Adam Hanuszkiewicz: a jakże, dobrano się już nawet do tatrzańskich jaskiń! Hanuszkiewicz meczy się zresztą głównie moralnie. Wymienione tutaj specjalnie brująco dno polskiego kina; autorów uprzejmie przemilczę.

Musi jednak istnieć wyjątek potwierdzający regułę. Jest nim Krzysztof Zanussi, drugi po Munku intelektualista polskiego kina i drugi po nim wielbiciel metafizyki turcji i skał. Temat tatrzański, jako temat pięcia się ku wyżynom moralnym człowieczeństwa pojawił się już u niego wielokrotnie: bezpośrednio w średniometrażowych, telewizyjnych GORACH O ZMIERZCHU, pośrednio w SPIRALI (akcja obydwo toczy się częściowo w schronisku i okolicach Morskiego Oka), dygresyjnie w STRUKTURZE KRYSZTAŁU. Aktualnie Zanussi znów dotyka swego „tematu szczytów” w kręconym właśnie filmie CONSTANS; ale to nie będzie chodziło o Tatry. W sumie jednakże — jak by nie podliczać — nawet spod jego ręki nie wyszedł taki pełnometrażowy film o tych stronach i o ludziach z tych stron, który można by zaliczyć do wielkiej już grupy istotnych osiągnięć polskiego kina.

A jeśli się już nawet nie upierać przy jakości artystycznego wyrażania, lecz tylko przy uczciwym dawaniu świadectwa temu, co cieka-

przystoi). Najodleglejsze historycznie, pinięskie PODHAŁE W OGNIU stanowią daleki od doskonałości twór z okresu, gdy Kostka Napierski stawiany był na cokol jako bohater bez skazy. We wszystkich w końcu wypadkach chodziło o strzelaninę i rąbaninę.

Jedną tylko można mieć nadzieję — że kończony właśnie serial TV ROD GASIE-NICÓW, opisujący stulecie od roku 1820 do 1920, powie coś wreszcie o codziennej prawdziwej ludzkiej tych stron. Jeśli jednak tak się stanie, to na miarę kropli w morzu. Tymczasem kino polskie znajduje się w fazie wielkiego dialogu o prawdziwym obliczu kraju — i w fazie wielkiego rozwoju produkcyjnego. To młode duchowo i pokoleniowo kino, aby sprostać wyzwaniu przez siebie rzucanemu, musi zdać teraz sprawę z rzeczywistością w każdym regionie Polski. Musi też poszukać w przeszłości tego wszystkiego, co nas tworzyło. Myślę, że wyjątkowo wiele okazji może spotkać na tej ziemi, która dotąd nie miała godnie odwzajemnionej nawet zewnętrznej urody: gdzie piękno Orawy i Beskidu Niskiego? Gdzie Gorce? A Pieniny, w których żyje teraz tak wspaniały temat, jak koleje losu zapory czorsztyńskiej?

Wylizać można długo, podobnie jak upominać się o obowiązku zapisania na taśmie filmowej pewnych obrazów z przeszłości, które już niedługo będą bardzo trudne do odтворzenia: Zakopane odkrywane przez Chalubińskiego, wieś Orkana i Przerwy-Tetmajera, Szlambark taki, jakim go widział Tadeusz Kulisiwicz, Naprawa Jalu Kurka. Ale nie o to chodzi, lecz o rzecz naczelną. O świadomość, że ta ziemia jest dla kina zdumiewająco nie odkryta, nie zglebiona i nie zrozumiana. Dla kina, które znać dziś w Polsce tak wiele.



**K**ije hokejowe z nadrukiem „Smoleń — Polska” zna cały sportowy świat i uważa je za jedne z najlepszych. Czym są narty Rossignola, Kneissla, Kaestle'a i Fischera dla żywych torped alpejskich stoków — tym Smoleniowie hokejki dla gladiatorów lodowych aren. Z tym, że na doskonałość i sławę pierwszych pracują sztaby naukowców, specjalistów, nowoczesne laboratoria — a drugie są tworem chłopskiego geniuszu i sprytu.

Sam Bill Warwick, kanadyjski snajper drużyny hokejowego mistrza świata, napisał o kijach BRONISŁAWA SMOLEŃA z Męciny: „Jestem zdania, że Pańskie kije hokejowe należą do najlepszych, jakie w zyciu używałem”. Stałe doskonałone kije rodem z Męciny bywały piorunującą „bronią” w rekach radzieckich mistrzów: Charlamowa, Pietrowa, Michajłowa, Makarowa i ich następców.

I tu nasuwa się frapujące pytanie — skąd w małej wsi limanowskiej mógł zrodzić się Stradivarius kijów hokejowych? A mógł, bo tajemnica — podobnie jak w skrzypkach — tkwi w drewnie. Drewno drzewu nierówne i żeby je czuć, trzeba być obdarzonym szczególną intuicją. Kiedy Smoleń idzie do lasu w poszukiwaniu tworzywa do swoich czarodziejskich kijów, to najpierw długo bada siedlisko, glebę, kął nasłonecznienia upatrzonego jesionu, grabu, buka, jaworu czy akacji — nim zawyrokuje: „ścinać!”. Powalone białe, pokrojone w plastry desek, trzy lata leżakują na słońcu, deszczu i mrozie — zanim trafią do warsztatu mistrza. Tu tworzywo poddawane jest raz jeszcze szczegółowemu oglądzinom — ich miąższ, słoje, skręt włókien — nim piła zaczyna wykrawać hokejowe drzewce. A i to często miśternie wykonane rękodzieło nie sprostą probom wytrzymałościowym i wędruje na podpałkę. Bo trudno tak do końca zgłębić tajemnicę drewna — filozoficznie kwituje niepowodzenie pan Bronisław. Do tego dochodzi jeszcze indywidualizacja każdego kija wedle osobowości zawodnika — jako że kij jest przedłużeniem rąk, a łańcuch na końcu łopatki krządek trzeba czuć nieomal w dłoni.

O karierze Smolenia i Męciny zdecydował po prostu szczęśliwy przypadek. Z początkiem lat pięćdziesiątych młodzieńki Smoleń — „mistrz kolodziejstwa pojazdowego” — zjechał do Krynicy z zadaniem wykonania karoserii autobusu dla miejskiej komunikacji. Wymyślnej sztuce profilowania drewnianej konstrukcji przyglądał się twórca krynickiego hokeja, reprezentant kadry narodowej, Stefan Csorich. Urzeczony łatwością z jaką nieznanemu mu kolodziej odkształcał pod kątem 90 stopni półowe spagi — jakby to była plastelina — zaproponował mu wykonanie na próbę kija hokejowego. Próba wypadła nader pomyślnie — bo za nią wpłynęło zamówienie z KTH na wykonanie 30 hokejek. Spodobała się Smoleniowi ta praca i wkrótce doszedł w niej do takiej maestrii, że obok dyplomu kolodziejskiego mógł zawiesić i dyplom „Mistrza stolarstwa sportowego”.

I tak zaczął się pochód kijów z Męciny po rodzimych klubach hokejowych... nim podbiły świat. Był to jednak długoletni proces zmagania z materią i technicznych poszukiwań. Kije hokejowe z bielskiej wytwórni „Pol-sportu” w cenie 520 złotych lamią się jak zapalki — a męciński Smoleniowego patentu, tańsze o 125 złotych wytrzymują najcięższe próby. Stąd całą dziewięćdziesięcioletnią roczną produkcję „na pniu” wykupują pierwszoligowe kluby.

Janusz Koszyk

# SMOLEŃ — POLSKA

Z kijów płynie splendor i dochód, z którego żyje ich twórca i czerpie profit rodzinna Męcina, która i dzięki Smoleniowi z drewnianej stała się muirowana. Inny na jego miejscu, mając tak lukratywny interes żyłby z rodziną spokojnie i dostatnio, nie kłopotując się losem wsi. Ale nie Smoleń — pasjonat, który wniósł w rodzinne oplotki prawdziwą zawieruchę socjalistycznych przemian.

— A zaczynać trzeba było od przeorywania ludzkiej świadomości — opowiada Jan Świerczek, współtowarzysz partyjnych przedsięwzięć sekretarza Smolenia.

Dziś Męcina chlubi się okazałą szkołą, domem nauczyciela, ośrodkiem zdrowia, punktem skupu żywca, pawilonem handlowym i restauracją, przystankiem kolejowym, wodociągami, siecią asfaltowych dróg spiętych klamrami mostków i wieloma innymi atrybutami cywilizacji. A w jej już półmiejskim pejzażu wyrasta dom kultury — remiza z częścią hotelową — i tylko patrzeć jak popłynie gaz do domostw.

— Łatwo się to teraz podlicza, a ile z każdą inwestycją trzeba było przejść udręki i przelamywania często dramatycznych konfliktów — wspomina dalej Świerczek. — Starczyłoby tej naszej i Smoleniowej epopei na niejednym telewizyjnym reportaż „Za siódmej miedzy”. Ale we wspólnej pracy i kłopotach cementowa: się męciniński kolektyw partyjny, szczytujący się dziś najliczniejszą w regionie wiejską organizacją — 90 towarzyszy.

Smoleń w tytanicznej pracy nie oszczędza siebie, rodziny, współziomków — a za ludzkie uznanie i szacunek oddałby wszystko. Toteż jak relikwie przechowuje gazety, w których jest Męciny i Limanowej drogi do laurów gospodarności opisanie. Bo jako sekretarz limanowskiej organizacji partyjnej ma w tych sukcesach swoją serdeczną dziękę i lubą satysfakcję. Ze wszystkich honorowych odznaczeń w najwyższej estymie ma dyplom i nagrodę „Trybuny Ludu” za społeczną pracę i medal „Gazety Poludniowej” — „Za mądrość i dobrą robotę”.

Smoleniowi nie wystarcza taka wielorakość wcieleń. Trochę z przekory wobec tych, którzy krzywo patrzyli na jego hokejowy interes, doszukując się też w jego partyjnej działalności nieczystych intencji, a trochę aby udowodnić rację hasła, że „Polak potrafi” — poważył się na rzecz zgola zuchwałą. Założył trzy lata temu fermę tuczu trzody chlewnej i co roku zwiększa produkcję mięsa w postępie arytmetycznym. Dla kwiczącego stada wzbudował nowoczesną chlewnię z płytowymi bateriami, paszalnią, cztery kryte silosy, powiększył areal uprawowy. W ubiegłym roku za sprzedane państwu tuczniaki wziął dwa miliony złotych i na dodatek 48 tysięcy złotych za niewykorzystaną paszę z przydziału! A już ponad 260 dorodnych warchlaków rośnie mu na wadze. I co osobliwe, za nie to właśnie — a nie za hokejowe kije — dosłużył się Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Dzieli uznanie popołu z żoną Ireną, która dźwiga ciężar codziennych hodo-dowlanych powinności — bo mąż w rohoicie partyjnej i społecznej jest wielce zagoniony.



Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Młode pokolenie Smoleniów też nie idzie przez życie łatwo — wypracowując sobie własne, godne miejsce w społeczeństwie. Tylko najstarszy syn, Jerzy — wkrótce mistrz stolarski — kontynuuje rodowe tradycje.

Przykład Bronisława Smolenia jest zaraźliwy dla całej męcinińskiej społec-

ności, bo cokolwiek ten niezwykły człowiek robi — robi z talentem, pasją i sercem — swojej pracy nigdy nie musiał się wstydić. I gdybym miał teraz odpowiedzieć, w czym tkwi tajemnica jego sukcesów — powiem bez wahania: w nim samym.

**JERZY LESZCZYŃSKI**

**FRA-SZKI**

**WSPÓŁCZESNA SCHOLASTYKA**

Problem: ilu biurokratów zmieści się na pół etatu.

**STATYSTYCZNY OBYWATEL**

Poddany — danych.

**SPAŁ DZIELNIE**

W oczach sprzedawcy wyczytałem: — WSS... „Spałem”.

**PIERWSZA OFIARA**

Pierwsza nowej miotły ofiara — to nie śmieci, lecz miotła stara.

**SZKODA**

Lecą latka za latkami — Szkada, że nie ponad nami.

**SPRYTNY PTASZEK**

Umie zmienić skórę — nie zmieniając piórek.



W młej kompanii kilkunastu dziennikarzy europejskich i pozaeuropejskich agencji prasowych przemierzalem w ubiegłym roku Bułgarię. Gospodarze chcieli w jak najkrótszym czasie pokazać nam jak najwięcej, przeto popasaliśmy raczej krótko, za to pracowicie, w kilkunastu punktach etapowych. Po drodze były Rodopy i miasto Smoljan. Wtedy mocniej zabiło moje serce: będę pierwszym — pomyślałem sobie — z nowosądeckich dziennikarzy, który odwiedzi Smoljan, stolicę regionu, z którym Nowosądeckie nawiązało przyjacielskie kontakty. Trafiła mi się dziennikarska „gratka”.

Fakt ten narzucił mi obowiązek bystrogo rozglądania się dokoła, spisywania na gorąco spostrzeżeń, a równocześnie — bo jakże tego nie robić — dokonywania porównań. Tak powstały te oto bułgarskie impresje.

Spotkania z Rodopami wypadła rozpocząć od przypomnienia historii Orfeusza i jego ukochanej Eurydyki. Ów mityczny śpiewak, muzyk i poeta, który swą sztuką potrafił oczarować ludzi, zwierzęta, drzewa i skały, był Trakiem jak

wszyscy mieszkańcy Rodopów. W Smoljanie Orfeusza i Eurydykę przypomina pomnik — dzieło wybitnego bułgarskiego artysty, Lubomira Dalczewa. Współcześni Trakowie skłonni są twierdzić, że Orfeusz najchętniej grywał na... gajdach. Musiało tak być, skoro obecnie w smoljańskim okręgu można skrzyknąć w jednej chwili oryginalną orkiestrę składającą się z dwustu i więcej gajdarów. Górą „spod samiuczków Tater” rodzi się ponoć z gęsłami w dłoniach, górą z Rodopów — z gajdami.

Rodopy: średnia wysokość tysięcy metrów nad poziomem morza, bogaty świat roślinny i zwierzęcy (niedźwiedzia łatwiej tu spotkać niż w naszych Tatrach), śnieg utrzymuje się przez 120 dni w roku.

EWTIM GERZIEŁOW — przedstawiciel Okręgowej Rady Kultury w Smoljanie mówił: Rodopy ze względu na swoje niepotwarzalne wartości stanowią prawdziwy skarb narodowy. Bułgarska Akademia Nauk prowadzi kompleksowe badania, a program „Rodopy” obejmuje wiele dziedzin, wiele tematów. O Rodopach powstało dotąd blisko 25 tysięcy prac naukowych i pu-

Kazimierz Strachanowski

## BUŁGARSKIE

blikacji. Badaniami objęto prastare tradycje kultury i sztuki trackiej.

Mamy w okręgu szkołę sztuk użytkowych, w której młodzież uczy się tkactwa, obróbki miedzi itp. Mamy średnią szkołę muzyki i śpiewu ludowego. W dorocznym festiwalu folklorystycznym oglądanym przez sto tysięcy widzów uczestniczy sześć tysięcy wykonawców. W inauguracyjnym koncercie występuje zwykle chór ludowy, składający się z czterech i pół tysiąca ludzi oraz kilkusetosobowa orkiestra gajdarów-kobziarzy. Dumą naszego okręgu są zabytki kultury i architektury. Mamy ich blisko 1900. I dodał: Musisz koniecznie zobaczyć wieś Szyroka Łyka.

Szyroka Łyka (po polsku „Szerokie miejsce”) nieodparcie przywoła do myśli naszą góralską wieś

Chochołów. To tutaj — mówią Bułgarzy — w nieskazitelnej formie przetrwały wszystkie wartości trackiej kultury, sztuki, obrzędy i zwyczaje ludu bułgarskiego. Turcy nie zdolali przez 500 lat złamać ducha narodowego Szyrokiej Łyki. Dziś urzeka starą ludową architekturą, podbija serca gościnnością ludzi, rzeczywiście baśniowym krajobrazem.

Z inicyjatywą wybudowania we wsi Szyroka Łyka średniej szkoły muzyki i śpiewu ludowego — powiedział mi dyrektor tej placówki MARKO KURTEW — wystąpił Todor Żiwkowi. Ponieważ jest to jedna z dwóch tego typu szkół w Bułgarii, przyjmujemy uczniów z całego kraju. Niełatwo zresztą zostać uczniem, obowiązują trudne egzaminy konkursowe. Naszym zadaniem jest



Zimowy pejzaż gorlickich okolic



Zdjęcia MIECZYSLAW STASZEWSKI



# IMPRESJE

ochraniać, rozwijać i popularyzować bułgarską muzykę ludową, szczególnie troszcząc się o nasz trakt folkloro-muzyczny. Dla wszystkich uczniów, a jest ich ponad 200, są miejsca w internacie, dysponujemy też 55 oddzielnymi gabinetami do ćwiczeń indywidualnych. Pierwsze trzy roczniki opuściły już szkołę, część podjęła studia wyższe, reszta pracuje w placówkach kulturalnych, szkołach muzycznych, w zespołach folklorystycznych.

W Sztywnej Lyce pomyślałem, że z pewnością przyjadą tu kiedyś nowosądscy folklorysty, członkowie zespołów regionalnych. Interesujący byłby dialog na temat jak chronicznie kulturowe dziedzictwo górskich regionów Polski i Bułgarii.

Co można powiedzieć po jedno-

dniowym pobycie w Tatrach? Nie wiele. Tyle mam — niestety — do powiedzenia o Rodopach oglądanych z bliska, z bułgarskiego Zakopanego, czyli Pamporowa.

Pamporowo leży na wysokości 1650 m n.p.m. Robi błyskawiczną karierę wysokogórskiego kurortu i czolowego ośrodka sportów zimowych. Górskie hotele, schroniska, domy wypoczynkowe gościły już turystów z blisko 20 krajów świata. A rozbudowywane wyciągi narciarskie i narciostady przybliżają dzień, gdy Bułgaria zgłosi Pamporowo jako kandydata do roli gospodarza jednej z następnych zimowych Olimpiad! Nie ma w tym żadnej przesady, na własne uszy słyszałem to od moich bułgarskich przewodników.

Po Smoljanie wędrowałem w towarzysztwie architekta IWANA KALADZIJEWY. Bardzo przydało się fachowe przewodnictwo, bo Smoljan dopiero powstaje. Dokładniej — powstaje centrum miasta i to z takim rozmachem, że dech zapiera. Smoljan liczy obecnie 32 tys. mieszkańców, w 2000 roku będzie miastem 65-tysięcznym. A jaki jest zakres prac? Oddam głos architektowi Kaladziejewowi: *Budujemy reprezentacyjną część stolicy okręgu. Reprezentacyjną, ale funkcjonalną. Rozpisaliśmy konkurs architektoniczny na koncepcję całego wielkiego przedsięwzięcia i jego poszczególne elementy. Budujemy bowiem centrum kultury z teatrem, muzeum, biblioteką, salami wystawowymi. Budujemy wielkie centrum handlowe. Tu staną także takie obiekty, jak „Dom Partii”, „Dom Rady Narodowej”. Powstał już piękny „Dom Młodzieży”. Wybudujemy hotele, restauracje, rozległy plac, czy raczej zespół placów, bo cała ta dzielnica będzie rozmieszczona na kilku poziomach, jesteśmy przecież w górach. Będą też podziemne garaże i parkingi. Myślę, że Smoljan będzie pięknym miastem. Zapraszam za cztery lata.*

Zaimponował mi ten 200-hektarowy smoljański plac budowy. Niełatwo buduje się w górach — a w rejonie Rodopów trzeba jeszcze budować tak, żeby wszystkie obiekty były przygotowane na ruchy sejsmiczne ziemi. Muszą wytrzymać trzęsienie ziemi i to ośmiostopniowe w dwunastostopniowej skali Merkalego.

Równocześnie z budową nowego Smoljana trwa rekonstrukcja starych dzielnic miasta. Ba — żeby tylko starych. Przed kilku laty wybudowano sporo nowych bloków mieszkaniowych. Wówczas niezbyt wierzone starym góralom z Rodopów i przeniesiono w góry projekty standardowych bloków z płaskimi dachami. Szybko jednak wyciągnięto wnioski z błędnych decyzji i teraz takie domy też poddawane są zabiegom adaptacyjnym.

I tyle pospiesznie spisanych impresji bułgarskich przywiezionych z „Krainy Orfeusza”. Wiele jest podobieństw, wiele spraw może zbliżyć mieszkańców obu naszych górskich regionów. Niech te reporterskie zapiski wywołają w Waszchę odwiedzenia Smoljana, Sztywnej Łyki, Pamporowa. Warto tam pojechać!

Tadeusz Staich

# JÓZEK

Każdy inny tytuł byłby chybiony. I nie tylko tytuł. Chybione byłoby jakiegokolwiek imię położone przy Krzeptowskim, Józku Krzeptowskim z Krzeptówki. Młodzi nazywali go Ujkiem, napełniając to słowo ciepłem, gdy czuli, ile ciepła przesyłają im siwe Józkowe oczy. Dla mnie imię Józek na zawsze z nim się utożsamilo. Gdy je słyszę, czytam lub wymawiam, w pamięci staje mi Krzeptowski. Józek, Józek Krzeptowski.

Poznałem go późno, w 1949 roku. Miał wtedy podług metryki 45 lat, tańczył jakby był młodszym o lat dwadzieścia, a jego rozum pracował tak, jakby sto lat terminował w wielkich tego świata. Józka właściwie nie powinno się mierzyć latami, lecz miarą dowcipu. Byłaby to miara ogromna. Dowcip miał przedni, swój własny, nie wzorowany na cudzym. Wszystko właściwie umiał przekazać śmiechem albo uśmiechem. To dowodnie świadczyło o jego inteligencji, lotności, o mądrości właśnie, mądrym wizerunku świata. Nie było to widzenie bierne; czynne nieustająco, błyskotliwe przy tym, „w mig” chwytające i oceniające.

Ręka i język są podstawowymi narzędziami człowieka. Dłoń Józka miał wyciągniętą ku każdej innej dłoni, która prawdę i ludzką serdeczność niósła, równocześnie zaś sposobną ku wzleszeniejakiej robotcie, kierowanej góraliskim talentem. A język giętki i celny, jak u Słowackiego:

*Chodzi mi o to, aby język giętki  
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;  
A czasem był jak piorun jasny, prędki,  
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,  
A czasem jako skarga Nimfy miętki,  
A czasem piękny, jak Aniołów mowa...*

Przy Józkowej osobowości i kulturowej jego formacji mogło tak być jak chce poeta, dzięki gwarze górali tatrzańskich. Gwarą wadał mistrzowsko, to znaczy świadomie, to znaczy jak góral wiedzący, to znaczy codziennie i odświętnie, po हुआ i po gazdowski. Nie mogło inaczej być, skoro taka wielka była uroda jego humoru.

O Józkowych nogach można by powiedzieć wprawdzie to samo, co o rękach i języku, ale nogi posłuszne były do imentu krwi, woli, sercu i wszystkim ogniom, co się paliły w Józku taneczniku. Józkowy taniec... Trudno zapomnieć to upalne prawie, błękitem i złotem obite jesienne południe roku 1965, gdyśmy w wielkiej przewodniczej gromadzie szli wraz z cizbą górali i tysiącem turystów z Kuźnic przez Boczań ku Kopom Królowym, by na sposobnej po temu płasni rozpaść wstrętną dziewięćdziesięciolecia przewodnictwa tatrzańską. Jedną z muzyk góralskich zatrzymała się na buli pod uplatem Kopy Królowej Wielkiej. Prymista wywiódł ozwodną nutę, ale wnet przerwał na widok doskakującego ku sobie Józka. Można się najsmielej spodziewać, co stało się dalej. Józek prasał ciupagą o ziemi, przymglonym nieco, ale pełnym zapamiętania głosem rzucił swoją nutę i wziął tańczyć. Patrzyłem, jak odrzucał na boki swoje lata i wdeptywał je lekko w ziemię. W grzbiecie i kolana wstąpiła mu młodość, drobnił i krzeszał jak wtedy, gdy z Wójtkiem Wawrytką na zmianę tańczył przed Karolem Szymanowskim. Któraś z zakopiańskich niewiast jęła mu boczkować z tym samym ogniem i najwyższą elegancją góralską. Ale świetność Józkowego tańca ukazała

Fot.  
WŁADYSŁAW  
WERNER



się w krzesanym „po styry” i jakby specjalnie do trawy przystosowanym kroku „po dyłu”. Odpowiedział taneczniczy tą samą elegancją a równocześnie takim zapamiętaniem i pożądaną myślą, że widom dech zapierało. I wtedy, w jakimś momencie lykania tej Józkowej świetności, przypomniał mi się okrzyk Wójtki Wawrytki sprzed wielu lat, gdyśmy z Juliuszem Zborowskim, Stanisławem Mierczyńskim, Janem Gwalbertem Henrykiem Pawlikowskim i Kornelem Makuszyńskim siedzieli w izbie Gienka Sieczki na Małym Zyczańskim. O północy siedemdziesięcioletni prymista Jasiek Obrochta Bartków rzucił skrzypce do kąta, wyskoczył na środek izby i wziął krzesać. Dymiący czupryną Wójtek krzyknął mi nad uchem: — *Ej! wiesz ty co, ale Jasiek jeszcze wiater w rzycki mo!*

Zawsze, ilekroć mówię albo piszę o Józku, przypominają mi się niezliczone jego żarty, dowcipne odzywki, „złote myśli” i anegdoty. Kursują one po całym kraju, zmienione często w swej treści, przeznaczone lub przypisane komu innemu. Nie wszystkie oczywiście słyszałem bezpośrednio od Józka, nie wszystkich zdarzeń byłem świadkiem, ale w latach wspólnych wycieczek — często prowadziliśmy we dwóch większe grupy turystów — nasłuchałem się sporo jego „nauk i przyków”. Pragnę je odszukać w pamięci i wraz z przywo-

ływaniem postaci Józka przekazać uwadze czytelników.

Zdarzenie, którym kończę dzisiejszą opowieść, miało miejsce późną jesienią, w spokojne południe pewnego dnia. Było po sezonie, letnia tądzież zimowa stolica Polski stała się nagle zwykłym, prowincjonalnym miasteczkiem. Wracałem z koleżanką z jakichś odwiedzin w szpitalu. Szło się nam niezbyt wesoło. Spod poczty wolno maszerujemy w górę Krupówek. Ludzi na ulicy nie ma, prawie pusto. Z daleka widzę, że pod budynkiem zakopiańskiego magistratu stoi jakiś samochód. Dochodzimy. Mercedes jest lśniący czarny, przez przednie szyby widać purpurowe siedzenia. Nawet mniej wprawne oko pozna, że to skóra, a nie żadne tam tworzywo. W tyle, na środku samochodowej purpurowej kanapy ktoś siedzi w pozycji półleżącej, bardzo wygodnie, wielmożnie prawie. Już chcieliśmy przystanąć, gdy niespodziewanie otwary się tylne drzwi i ukazała się głowa Józka. — *He, postójże Tadek, postójże. Dzień dobry. Wiesz co? Octar use mi godoł tak: Józek, z tobie będzie albo gówno, albo pon! I sprawdziło sie!*

Po czym głowa się schowała, a cała postać przybrała jeszcze bardziej pański wygląd. Uszanowaliśmy Józkowy majestat cicho odchodząc w bok, by móc podziwiać dalekowszycność Józkowego ojca i pańskie manieri jego syna.



Janusz Hańderek

# WRZEŚNIOWE POPOŁUDNIE

Pod listem 23 podpisy nauczycieli Zespołu Szkół Zawodowych CZSP w Nowym Targu. I treść: „Zwracamy się z uprzejmą prośbą o interwencję w następującej sprawie. Dnia 6 września 1979 r. w godzinach popołudniowych miał miejsce ohydny gwałt zbiorowy na uczennicy naszej szkoły J. P., lat 17. Uczestniczyła w nim siedmiu — naszym zdaniem — wyrodniałych, wyzutych zupełnie z ludzkich odruchów osobników w wieku 14—18 lat. Poszkodowana przebywa obecnie w Klinice Neurologicznej w Krakowie. Ponieważ jej rodzice są ludźmi niezamożnymi, koszty obrony pokryjemy my, nauczyciele, bo jesteśmy mocno wstrząśnięci, a do tego zaniepokojeni tym, co dzieje się wokół tej sprawy. Uczennica była i jest szantażowana, a koledy przestępców (pitowcy) grożą jej śmiercią. (...) Zaniepokojeni tym, a także opieszalnością postępowania w tej sprawie, wreszcie krąjącymi plotkami (spora grupa nowotarzań twierdzi, że ujdzie im to bezkarnie, bo pieniądze wszystko zrobią), nie mogą przejść ze stoickim spokojem, apelujemy o pomoc.

Listy podobnej treści otrzymały redakcje kilku czasopism, a także m. in. Prokuratura Wojewódzka w Nowym Sączu, Kurator Oświaty i Wychowania w Nowym Sączu, Komitet Wojewódzki Partii i Komenda Wojewódzka MO.

★

To było 6 września. Niby zwykły, powszedni dzień, a przecież jednak nie taki całkiem zwykły. W Nowym Targu odbywał się Jarmark Podhalański. Tłoczno było pod budkami, w których sprzedawano kielbaski z rożna, słodycze, napoje chłodzące, a przede wszystkim — piwo. Złapała je z lubością grupa młodych chłopców, uczniów Zespołu Szkół Mechanicznych w Nowym Targu. Piwo traktowane jako „utrwalacz” wcześniej wy-

pitej wódki przynosiło jednoznaczny skutek. Chłopcy stawali się coraz bardziej agresywni, coraz bardziej pewni siebie. W końcu znużony się im ten jarmark, przestali podobać śpiewy i tańce. Postanowili „bawić się” w swoim gronie. Jeden z nich, 16-letni Zdzisław T., dysponował wolnym mieszkaniem. Cóż to jednak za zabawa, gdy nie uczestniczą w niej dziewczyny?

Spotkali je na ul. Szaflarskiej. Szły po zajęciach szkolnych do internatu. Spokojne, przekonane, że tu, w centrum miasta, nic złego im nie grozi. Mylili się jednak...

★

Są nachalni. Proponują uczniom wyprawę do mieszkania Zdzisława T. Na tańce i inne przyjemności. Dziewczyny stanowczo odmawiają. Nie wyrażają zgody na nową, zmodyfikowaną ofertę (wspólnie) spędzenia kilku popołudniowych godzin. Nie chcą więc iść nad brzeg Dunajca, nie chcą uczestniczyć w „zabawie” przy ognisku. Chłopcy jednak postanawiają przelamać dziewczęce opory: wyrzucają uczniom torby z książkami i pędzą z nimi nad rzekę. Dziewczyny biegają za chłopcami, chcąc odzyskać torby i książki.

Nad Dunajcem nie ma mowy już o ognisku. Chłopcy mają ochotę na doznania bardziej jednoznaczne. Dziewczynom mówią wprost, że powinny się z nimi „kochać”, że zaraz tu, w nadbrzeżnych krzakach odbędą się stosunki seksualne.

Są przerażone. Jedna z dziewcząt, korzystając z chwilowej nieuwagi napastników ucieka w kierunku miasta, droga rzuca się do rzeki i po chwili jest już na drugim brzegu. Uciec nie udaje się tylko J. P.

Pierwszy bierze dziewczynę 16-letni Tadeusz Ch. Prowadzi ją w stronę krzaków. Ma ochotę na stosunek, ochotę tak wielką, że J. P. musi się mu

oddać. Gdy będzie się oierać, on zaraz w przemysłowy sposób potnie jej twarz żyletką. Potnie tak, że żaden lekarz pięknej buzi nie poceruje...

J. P. jeszcze raz próbuje ratunku w ucieczce. Biegnie do rzeki. Tadeusz Ch. jest jednak szybszy. Chwyta dziewczynę i znowu prowadzi ją w kierunku krzaków. Teraz nie przekonuje już, nie straszy, tylko działa. Ściąga dziewczynę spodnie, bieliznę. Inni obserwują poczynania Tadeusza Ch., czekając na swoją „kolejkę”. Gdy pierwszy kończy, rzecz całą zaczyna drugi, potem trzeci...

Za każdym razem dziewczyna próbuje się bronić; za każdym razem powtarzana jest więc groźba o kaleczeniu twarzy. By gwałcona nie myślała sobie, że te groźby są tylko jakimś żartem, chłopcy wysyłają nawet najmłodszego uczestnika zabawy, 14-letniego(!) Marka G. w poszukiwaniu szkła. Musi być ono odpowiednio ostre i odpowiednio grube.

Wczesny wieczór. J. P. dalej jest w rękach zdecydowanych na wszystko napastników. W końcu jednak pojawiają się refleksy samochodu. Pojazd jedzie wyraźnie w kierunku rzeki. „Bohaterowie” dnia nagle jakos tracą pewność siebie. Postanawiają uciekać. J. P. słyszy jeszcze stanowcze ządanie zabraniające jej mówienia wychowawcom, a przede wszystkim milicji o tym, co ją spotkało nad rzeką. Gdyby zaś miała ochotę na zbytnią gadatliwość — to potem długo będzie jej żalowała...

Samochód rzeczywiście przyjechał z odsieczą. To dwie koleżanki, którym udało się zbiec znad rzeki poprosiły o pomoc kilku swoich kolegów. Jeden z nich dysponował samochodem.

Stan J. P. jest opłakany. Odwoła więc ją szybko do internatu. Tu dziewczyna mówi o tragicznych chwilach, które przeżyła nad Dunajcem. Zostaje wezwany lekarz. Opatrywanie ran

i pierwsza diagnoza: J. P. za sprawą gwałcicieli po raz pierwszy — i to w najohydniejszy sposób — zetknęła się z „miłością”.

O przestępstwie zawiadomiona została nowotarska milicja. Ustalono nazwiska sprawców i zatrzymano ich.

★

„Nie było to łatwe śledztwo. W charakterze podejrzanych występowali 18-letni Wojciech K. i 16-letni Tadeusz Ch., Zdzisław T., Robert K., Andrzej M., a także 14-letni zaledwie Marek G. Zastanawiano się, jak to jest możliwe, by tak młodzi ludzie osiągnęli już taki stopień demoralizacji, że byli zdolni do tak bezwzględnych działań? Na te pytania nie znaleziono w czasie śledztwa jednoznacznej odpowiedzi. Powinni jednak zastanowić się nad nią rodzice zatrzymanych, a także szkolni wychowawcy chłopców...

W trakcie przesłuchań podejrzani o gwałt na wszystkie sposoby wymigiwali się sprawiedliwości. Kłamali, zmieniali zeznania. W końcu gdy przekonalni się, że zaprzeczenia nie mają żadnego sensu — przyznali w końcu, iż rzeczywiście z J. P. uprawiali „miłość”, ale za wyrażenia jej zgody, a nawet namową. Ona była po prostu bardzo chętna do tych rzeczy...

Przez wersję zatrzymanych fakty i dowody: stan w jakim znajdowała się po gwałcie J. P., zeznania jej koleżanek, którym udało się uciec znad Dunajca, w końcu lekariska diagnoza stwierdzająca, że J. P. nigdy do tej pory nie miała kontaktów z mężczyznami.

Winę oskarżonych ustalił Sąd Wojewódzki w Nowym Sączu, na wakancjach którego znajduje się sprawa nowotarzańskiego gwałtu. Na ławie oskarżonych nie ma jedynie Marka G., którego z uwagi na wiek oddano do dyspozycji Wydziałowi Rodzinnemu Sądu Rejonowego w Nowym Targu.

„Aż przyszedł utęskniony dzień, kiedy marzenie mistrza stało się rzeczywistością i po raz pierwszy wznosił się on lekko jak ptak nad ziemią” (Wanda Markowska, *Mity greckie — Dedal i Ikar*).

EPIZOD I. Miał skończone 15 lat i dość już monotony skoków spadochronowych. Zaprzagnął czegoś innego. On — **RAFAŁ GARGAS** — chciał ułusnie zostać współczesnym Ikarzem. Konstruktorom zdolnym był od kolebki niemal, marzył więc o zbudowaniu szybowa. Do dzieła nie doszło. Wtedy właśnie w piśmie „Skrzydła Polska” zobaczył zdjęcie lotni, która odtań na dobre i zle zawiadnęła jego życiu. Na podstawie samego tylko zdjęcia, bez rysunku technicznego zabrał się do budowy pierwszej, ale nie ostatniej w swoim życiu lotni. Osłabia była to lotnia. Rury z drewna, frezowane na okrągło, laminowane włóknem szklanym „Rogallo”, bo taki to był typ lotni, do poslušnych nie należała. Po wielokrotnych próbach uniosła się w górę, by po kilku sekundach uderzyć o ziemię. Skończyło się niepowodzeniem. Drugi, już nieco ulepszony egzemplarz „Rogallo”, łąduję z Rafałem w pokrzywach i błocie.

Kazimierz Bryndza

## PRZYGODA

Dobry początek, nie ma to mówić. Ktoś inny rzuciłby interes i to całe staranie o skrzydła, które człowieka mają unieść w przestworza, ale nie Gargas.

★

„Wzruszenie i duma owładnęły nim, gdy poczul się bliżsi niebios i słońca.”

EPIZOD II. Była to już trzecia z kolei lotnia. Statyczna i stateczna, wykonana według wszelkich prawideł sztuki konstruktorskiej. Konstrukcja nośna z rur duralowych, linki stalowe, pokrycie z folii zbrojonej, bo to dakron — materiał żeglarski, idealny dla lotni — trudno niezmiernie. Godzi się dodać, choć dla naszej opinieści wiadomość to bardziej peryferijna niż istotna, że koszt konstrukcji lotni dochodzi do 9 tysięcy złotych, czas budowy — licząc same popołudnia i wieczory — 3 miesiące. Więc jest trzecia lotnia i jedno, najważniejsze dla przyszłości postanowienie: muszą opanovać bezbłędnie technikę lotu. Skrety, łądowanie na punkt, „łapanie” dobrych wiatrów. Żmudny ten trening odbywa na stoku Winnej Góry w Biegonicach, z dala od gapiów. Są wyniki i jest pierwsza propozycja nie do odrzucenia: *chłopce, zagrasz w filmie „Iwna”, który kręcimy w Suchoj Dolinie.*

Krzysztof Dobosz

# OSTROŻNE SZUKANIE PRAWDY

Jest noc z 9 na 10 września 1978 roku. Krótko przed północą w Olszynie, w domu Jana Potońca wybuch gwałtowny pożar. Kiedy przed pionący budynek przybywają pierwsi zaalarmowani mieszkańcy wsi, nie ma już dachu, pałą się ściany boczne. Wśród krzających się przy gaszeniu pożaru nie ma nikogo z domowników i coraz bardziej oczywiła staje się straszliwa prawda, że z siedmiu osób, które zaskoczył ogień uratował się tylko sam Jan Potońce.

W pożarze ponieśli śmierć: 70-letnia Maria Potońce oraz jej i Jana wnucowie — dwudziesto-kilkuletnie siostry Malgorzata, Izabela i Alfreda Kurzejówne, a także — liczący 10 i 11 lat — Józef i Andrzej Oleksowie, synowie Stanisława Oleksego. Tego ostatniego dwa dni później aresztował prokurator, zarzucając mu zbrodnicze podpalenie.

Epilogu przewidzieć nie sposób. Sześciu ludzi za sędziowskim stołem stoi wobec zadania, wymagającego benedyktyńskiej pracy, żmudnego roztrząsania każdego dowodu rzeczowego, każdego zeznania świadka, każdej opinii ekspertów. Zadania, wymagającego ogromnej ostrożności — i ogromnej intuicji. I wreszcie: odwagi. Bo każdy wyrok, jaki

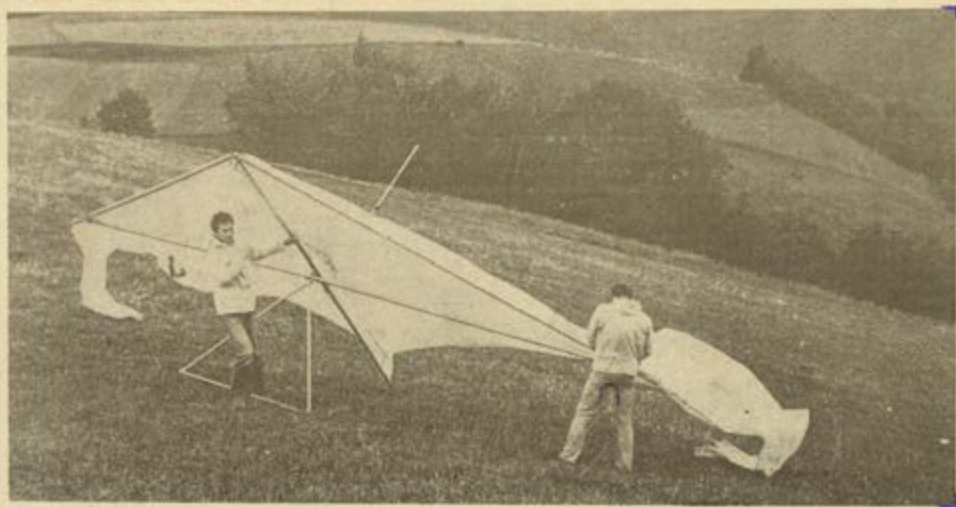
zapadnie w tej sprawie, wymagać będzie szczególnej odwagi.

Proces Stanisława Oleksego, trwający właśnie przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie, przejdzie do kryminalnych kronik jako jeden z najtrudniejszych procesów poszłakowych.

Emocje już wygasły. Wtedy, we wrześniu 1978 roku, kiedy ogień pochłonił sześć istnień ludzkich, olszańska społeczność domagała się, by zsubienica, na której zawiśnie domniemanemu podpalacz, stanęła właśnie na pogorzelisku. Dziś sala Sądu Wojewódzkiego w Krakowie — gdzie ze względu na dobro wymiaru sprawiedliwości przeniesiono proces — świeci pustkami: czas zrobił swoje — dom Potońców spłonął we wrześniu 1978, śledztwo zakończono w czerwcu 1979, w lipcu wniesiono akt oskarżenia. Rozprawa zaczęła się 15 stycznia br. Wobec ogromu materiałów dowodowych, przedstawionych przez prokuratora i obronę jasne się staje, że proces potrwa całe miesiące.

To, co się dzieje na sali sądowej, w nieczym nie przypomina scenariusza kryminalnego filmu. Pytania, dziesiątki, setki pytań, sięgających nieraz do zamierzonej przeszłości. Sąd najstaranniej, jak to tylko jest możliwe, gromadzi wszystkie, najdrob-





# Z LOTNIĄ

Rafał miał lot isticie filmowy i na dodatek białe, bardzo filmowcom odpowiadające pokrycie lotni. Debiut filmowy i pierwszy profit z kosztownego hobby — 4000 zł wypłacone przez filmowców.

★

„Ikar (...) niepomny na niebezpieczeństwo leciał coraz bliżej słońca.”

EPIZOD III. Winna Góra była już za mała. Rafał pnie się wyżej, ku Roztoce Ryterskiej. Zbocze nad szkołą wysokie, wiatr dmucha tak, że lotnię trudno rozłożyć. Na samym szczycie druty wysokiego napięcia. Startuje z niższej półki. Lot trwa dwie minuty. Dobrze i to. Najważniejsze, by złapać „żagiel” czyli prądy wznoszące, kładące się równoległe do kształtu zbocza. Wtedy nie rzuca na boki, nie przyciska do ziemi, płynie się nad lasami, nad ziemią. Dla tej krótkiej chwili warto pracować całymi miesiącami.

Po dwóch dniach z kolegą Janem Sejdem ponawia próbę lotu. Już z samego szczytu. Za plecami te fatalne druty wysokiego napięcia. Prędkość wiatru — 18 m/sek. Lotnia rozłożona, Rafał już podjęty, kolega obniża kil — rurę podłużną wzdłuż osi, prądy wznoszące wyrwyją lotnię w górę, ale tuż po starcie zaczynają cofać. Rafał ba-

lansuje ciałem, wchodzi to pod, to nad sterownicę, byle zwiększyć wysokość i ominąć druty. Jeden już pokonany, o drugi zawadza piętą, lotnia opada. Pamięta jeszcze oślepiający błysk, który widziano w dole, w Rytrze, potem rozpięający ból i uczucie, jakby go wciskano do ciasnego pomieszczenia. Duszno. Przytomność odzyskał w szpitalu. Poparzenie II stopnia na 30 procentach powierzchni ciała. Na dodatek zapalenie osierdzia, mięśnia sercowego. Dwa miesiące leżenia. Jeden wujek, bo rodzice nie mieli serca pracować mu moralów, powiedział, jak śmiał: — *Chłopcze, należy ci się dobre łanie.*

Ze szpitala wyszedł w sobotę, a już w niedzielę był w Rytrze. Zobaczyć lotnię. Jeszcze dobrze chodzić nie mógł, a już go ciągnęło do lotów. Pierwszy lot w stylu bombowca nurkującego, drugi — poprawny. I dłuższa przerwa. Ma maturę w Technikum Kolejowym i zalecone przez lekarzy sanatorium.

★

EPIZOD IV I NASTĘPNE. Chyba w lipcu „Horyzonty Techniki” doniosły o mistrzostwach kraju w lotniarstwie. Rafał buduje w pośpiechu nowy typ lotni („Fleming”) i jedzie do Wetliny. Zawody odwołano. A tak marzył o rywalizacji z równymi i lepszymi od siebie. Bez rywalizacji nie ma sportu, a lotniarstwo to nie tylko spełnienie odwiecznego marzenia człowieka o odezwaniu się od matki-ziemi, to w końcu także sport. Nie było Wetliny, będzie Zakopane. Poszybować ze szczytu Tatr! Na tę okazję buduje smukłą, o wydłużeniu 7 m i rozpiętości 12,5 m lotnię. Pierwszy lot z Nosalu kończy pechowo. Za to na zawodach drugi czas dnia za Węgrem i przyczynia się w walnie do drużynowego zwycięstwa reprezentacji województwa nowosądeckiego. Miał jeszcze raz startować na Nosalu, ale poprzeczający go zawodnik poniósł śmierć. Zawody przerwano.

W poszukiwaniu dobrych warunków lotu Rafał trafia na Babią Górę. Pod szczytem burza: śnieg, grad, boczny wiatr. Cóż, ryzyko to chleb powszedni lotniarza. Startuje. Pokonawszy różnicę poziomu 1050 m po 20 minutach lotu lądaje spokojnie na drodze do Widel.

I jeszcze zabawny incydent z Makowicy koło Rytra. W drodze na szczyt góry razem z kolegą zapakali do zagrody wiejskiej. Drzwi otworzył im wiekowy mężczyzna. — *Dziadku, możemy zostawić motocykl, bo chcemy latać? Dziadek przystał na prośbę i patrzy, co się będzie działo.* Rafał wdrapał się na szczyt, rozpiął lotnię i wykonał paradną rundę nad dziadkową chałupą. — *Panocku — dziadek do kolegi — to to ma motorek?*

— *Ależ nie, to lotnia.*

— *Jo wiem swoje, styszołem że „pyrcato”, to motorek musi być.* W rzeczy samej, w niewielkich wysokościach zwłaszcza — pokrycie lotni wpada w drgania i wydaje charakterystyczny dźwięk.

Tak oto powoli zbliżamy się do końca opowieści o odważnym człowieku, który pozazdrościł Ikarowi. I to w dobie kosmicznej na dodatek. Rafał przypiął skrzydła i szybuje coraz wyżej, coraz dłużej. W tych miesiącach zdobył się na wyczyn rzadki. Odbił siódmym rejestrowany lot w Tatrach. Startował z Kasprowego. Lądował na stacionie sportowym w Zakopanem. Lecił 20 minut, mógł dłużej, ale lekcja z Roztoki nauczyła go roztropności. Ma nowy rekord: 7 km lotu i pierwsze w historii lotniarstwa lądowanie w Zakopanem. A plany ma takie, że wypadaloby zapisać drugie tyle stron, by je w całości przedstawić.

Grunt to złapać dobre wiatry. Odwrotnie jak w życiu — tylko przeciwnie.

niejsze nawet szczegóły, dotyczące życia oskarżonego, jego stosunków z Potońcami — rodzicami poprzedniej, zmarłej żony... Sam Oleksy składał swe wyjaśnienia przez pełne niemal trzy dni, konsekwentnie nie przyznając się do winy. Kilka godzin rozstrząsano opinię psychiatrów i psychologów, zastanawiając się, czy osobowość oskarżonego pasuje do zbrodni, którą mu się zarzuca. Schorowanego Jana Potońca przywieziono do Krakowa karetką sanitarną. To jedyny człowiek, który mówił: „Widziałem na własne oczy”. Przesłuchiwany podczas śledztwa konsekwentnie oskarżał Stanisława Oleksego; protokoły tamtych zeznań są w aktach, ale liczy się przede wszystkim to, co powie dziś, na sali sądowej. Przewodniczący składu sędziowskiego, prawnik o ogromnym doświadczeniu, Adam Solarz przez sześć godzin zadaje dziesiątki pytań, by dociąć, co ów koronny świadek widział na własne oczy, co zaś w jego zeznaniach jest wynikiem auto-sugestii, lub — czego również wykluczyć się nie da — sugestii osób trzecich. Wreszcie przesłuchanie zostaje przerwane wobec widocznego wyczerpania 78-letniego starca.

Są na sali sądowej ludzie, przekonani dogłębnie o winie Stanisława Oleksego. Prokurator Marek Ellmes opiera oskarżenie na dwóch fundamentalnych przesłankach: po pierwsze — Oleksy nlena-

wdził Potońców i ich drugiego zięcia, Eugeniusza Kurzeja i tylko on miał motywy. Po drugie — w świetle dowodów rzeczowych i przeprowadzonych ekspertyz poza wszelką wątpliwość stol fakt, że dom spłonął skutkiem zbrodniczego działania, że ładna Inna przyczyna pożaru nie wchodzi w rachubę. Ale przestrzeń między motywami a zbrodnią muszą wypełnić dowody. Gromadzono je w śledztwie najstaranniej: zbierała je Prokuratura i Komenda Wojewódzka MO w Nowym Sączu, uczestniczyli w postępowaniu przygotowawczym doświadczeni oficerowie KG MO. Akta sprawy liczą pięć grubych tomów; zawierają protokoły zeznań kilkudziesięciu świadków, wierne zapisy konfrontacji, opinie ekspertów. Rzecz jednak w tym, że wszystkie te dokumenty stwierdzają tylko okoliczności pośrednie — niekorzystnie wprawdzie dla oskarżonego, ale mogące wystąpić również w całym przypadkowym zbiegu. Rzecz sądu — i tylko sądu — będzie teraz stwierdzić, czy ilość tych zbiegów okoliczności przekracza granicę prawdopodobieństwa.

Jest na sali drugi człowiek, z uwagą śledzący każdy szczegół rozprawy: Eugeniusz Kurzeja. Stracił w pożarze trzy córki. Jedną z nich zdzisiaj — być może — za sędziowskim stołem, w todzie, ferowałaby wyroki. Była aplikantką Sądu Rejonowego

wego w Nowym Sączu. To stało się pracownią, że proces odbywa się w Krakowie, niejako na „neutralnym” gruncie. Eugeniusz Kurzeja uczestniczy w rozprawie jako oskarżyciel posiłkowy, dochodząc moralnej satysfakcji.

Nie chcę tutaj rozplątywać się ponownie o szczegółach tragedii w Olśnaniu. Relacjonowałem je w czerwcu ub. roku na łamach „Gazety Południowej”; obszerny reportaż opublikowały jej również „Perspektywy”. Było to tuż po zamknięciu śledztwa; podstawa publikacji były materiały zgromadzone przez Prokuraturę Wojewódzką w Nowym Sączu. Dział materiały te weryfikuje sąd — i w ostatecznym rozrachunku liczyć będzie się tylko to, co na tej sali zostanie ustalone.

Prawo każdego cywilizowanego kraju kieruje się głęboką humanitarną zasadą: wszystkie wątpliwości interpretować należy na korzyść oskarżonego, bowiem mniejszą społecznie szkodą jest uwolnienie dziesiątku winnych, niż skazanie jednego niewinnego. Czy przed krakowskim sądem oskarżające poszlaki wezmą górę nad wątpliwościami, czy stanie się na odwrot? Nie wiem — i nie wle tego jeszcze nikt, nawet sędziowski zespół, który zmudnie, ostrożnie szuka możliwie pełnej prawdy o tragedii w Olśnaniu.

ANTONI KIEMYSTOWICZ

## FRASZKI

KS. KOPERNIK

Ten o zbliżeniu ciał  
pojęcie miał...

WG MATEMATYKA

Ziarnko do ziarnka  
to są dwa ziarnka.  
Ale nie miarka.

CNOTA

Kto z cnotą wojuje,  
w nocie nie zginie.  
Na przykład świnię...

WG CERVANTESA

Kto lubi walczyć z wiatrakami,  
niech zamieszka pod Tatrami.

WPLYWY

Na kłopoty jedyny sposób:  
słówko wpływowych osób.

WYZNANIE DYREKTORA

Ludu, mój ludu,  
nie mogą sprawić cudu.

DO BADYLARZA

Była miła i czuła,  
bo forszę czuła.

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC” — Jednodniówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół Krzysztof Dobosz, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Moradza, Adam Ogorski, Marian Wasilewski. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 4, II piętro, telefon: 253-34. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie. H-15





— No dobrze, że już jesteś. Taki jestem głodny.

„Dikobraz”



— Gdyby miał pan trochę ogłady, ustąpiłby pan miejsca mojej żonie!

„Le Monde”



— Masz młłą rodzinę, dwoje udanych dzieci, wspaniały dom i — mnie. Czego chcesz więcej?

„Punch”

# Żeń się na Sądceczyźnie!

Barczo dawno temu ze Starogo Szonka do Piwnicze idą dwie kłobity. Z Jarmaku. Jedna niesie we woreczku prasie — takiego cyczoka małego. A drugo kolo niej idzie i tak godo:

— Mój Boże! Żebym jo tyz mogła takie dziecietko mieć, jak to prasie! Kłobita już prawie dziesięć roków w małżeństwie i nie mogła docekać się potomstwa.

Usto trzy ćwierci roku — urodziła prasie! Świnke. Co teraz? Łociec cłowiek, matka cłowiek... Ksiondz to okrzyciu, dali temu imie Kaśka.

Kaśka rośnie. Ale nie jak świnia, co za rok można w ucho trzepnąć, ale rośnie pamału, a bestio tako mądro, że rady ni ma temu. I rośnie siedemnaście roków!

Jes akurat lato Idzie se chłopok na urlop z wojska do domu. Przechodzi to północy, (był miesionek w pełni) kolo sadu, patrzy: wylatuje świnia ze zogrady, podchodzi pod drzewo, lotrze-pala sie, spada z nie świńskiego skóra i taka piękno panna wychodzi se na drzewo, zrywo wiśnie i jy.

— Hej, to gratka lo mnie! — myśli chłopok. Podosed cicho, wziol se skórę, schowol.

Kogut zapiol piersy roz. Dziewcyzna skoczyła z drzewa i w plać! Ni ma skóry! Nim kogut zapieje drugi roz, musi w ty skórze być... Zakłęto jest. Co tu robić!

Chłopokowi troche serce zmiękło, podsed i mówi:

— Ty nie plac, a jo ci te skóry nie lotrdom. Tako piękno jesteś i w taki paskudny skórze chłodzisz.

— Blo mie matka zakłola jescze w lonie i jo muse w tyj skórze do casu chłodzić!

— Do jakiego casu? — pyto kawalyr.

— Ni młogę ci tak dobrze wszyckiego powiedzieć, jak to wygladało, jedno jes pewne: który pójdzie ze mnom w ty skórze do ślubu i nie będzie się wstydzil, to mnie wykupi.

Bez namyslu zodnego łoddol jyj skóre.

Nim kogut zapiol drugi roz, luna juz buła w ty skórze.

Pło tem wszyckiem pożegnali sie. Luna posła do zogrady, a lun posed do lojcow.

Urlop sie skłučul, chłopok pojehol do wojska, przebul tam jakiś cas. Wraco spowrotem do domu juz na stale z wojska. I gado do lojca, do matki:

— No to juz cas teraz, zebym sie żeniul.

Łociec godo: — Pewnie, my juz stary, kupe płola trza łobrobiać, a ni mo kto sprzydałoby się synowo.

Ale jak ta matka: — Synu, a kaj?

— No tam i tam, s tom świwinom.

— Cyś ty zwariuwoł! — gado. — Dziop w okolicy pięknych tyle, a ty se świwinie bierziesz!

Ale on chce świnie.

Idą na zmówiny. Przyszli, lojcowie jego markotni, tamci weseli.

Trza iść na pacierze do kościoła. Przychodzą do ksiendza. Ksiondz godo:

— No trudno. Łokrzcone to jest, jak

nie ucieknie łod łoltorza przy ślubie, to jo ni mom nic przeciwko temu!

Idą piyrse zopowiedzi. Chłpok ni mo miejsca, musi sie kryć, bo sie z niego śmieją. Ale wysły zopowiedzi. Łojcowie panny młode wyszykuwały pło psi krwi wesele, gości nazaprosali bogatych.

Ubrali świnie w suknie biało, welon, wionek na głowie i zamiast pieszczonków buły takie wianuski na palce z rozmarynu albo z młuku.

Do pana młodego druhyń sie przysiadają — ale do pani młode nik nie chce.

Pan młody se wziol świnie na ręce, zanios na wóz i jedzie do kościoła. Smialo!

Przyjizdają przed kościół. Przynios przed łoltorza, postawil na kłęczniku, sam kłęczkol na drugim. Organista zagrol wenikreator, a ksiondz wysed i pyto sie:

— No, Jasiek (bo jemu Jasiek bylo na imie), mos wolną i nieprzymusoną wole Kaśke za żone wzions?

— Mom!

— A ty, Kaśka — zwraco sie do świnie — mos wolną i nieprzymusoną wole Jaska za meza wzions?

— Hrm! — odpowiedziola świnia.

No to teraz ślubowanie: Jasiek tak za ksiendzem wszycko wygodol, a świnia za każdy roz ino co ksiondz powiedziol, to zamiast powtorzyć, to „hrm, hrm” — odpowiadała.

Zwiazal im ksiondz ręce stulą, wianuski poswiecił, zalozul świnie na kopytko, Jaskowi na palec. Siuh sie skoncul; pan młody panna młoda na rękach zaniosł na wóz i wsrod śmichu pojehol do chalupy, a goście pomalu po karcmach sie rozlazly, a potem przyszli do domu weselnego.

Matka jego ceko z chlebem i sola przed chalupą, patrzy sie: Jasiek przywozi nie żone, a świnie! Poplakala sie kłobita.

Przechodzi obrzęd cepin. Staroscino wzila panna młoda w toniec. Zwykle tak bylo, że družbowie chcą młoda niby wykraść, druhyń bronią, ale tam nikt panny młodej specjalnie nie bronil...

Wnet pon młody złapol świnie na ręce, a staroscino ledwie zdzula płowac wionek z welonem. Ale jak zdarla wionek, zdarla świńskiego skórę — teraz wyskocula panna młoda, dziewczyna piękna nad cudol! Nie buło nigdzie pięknieje! Chycila pana młodego za syje, wzila go całowała, bo ją wykupił z zakłęcia!

Teraz wszytscy kawalerowie nie beda sie żenić z pannami — sukają świń w okolicy! Gdzie który świnie upatrzył, tam ino będzie chodzil. Takiego gospodarza syn upatrzył sobie maciore qdzieś u gazdy i dalej ze ją na pacierze wlyc. Na przymus! Zalozyli jej powrózki na nogi, wypaprosli sie po olinie, po błocie — nic z tego! Nie ożeniul sie.

A Jasiek docekol się dzieci, wnuków i tak se zawsze gadol do nich:

— Jak sie mos żenić — żeń się na Szendceczyźnie! Bo choć w świńskiej skórze chodzi, ale będzie wierno i piekno!

**JÓZEF CITAK** — zanim został prezesem Stowarzyszenia Twórców Ludowych w województwie nowosądeckim, rzeźbił w drewnie świątki i rozmaite boginki, wzięte z legend, które opowiada się z pokolenia na pokolenie w dolinie Popradu. Podsluchaliśmy ostatnio jedną z historyjek, opowiadanych przez Citaka. Drukujemy ją z nadzieją, że inni gawędziarze również podarują „Dunajcowi” swoje opowieści.